

STRA
ŻNICY
SZCZY
TÓW
NIE-
ZDO
BYTYCH

Strażnicy Szczytów Niezdobytych

Antologia opowiadań

Lublin 2021

Wstęp

Redakcja i korekta
Piotr Kalwiński

Projekt okładki, ilustracja na obwolucie
Judyta Idzikowska, Anna Skorzyńska
Wewnętrzna strona obwoluty
na podstawie: Lily Padula *Pushing Up Daisies (kolaż)*

Skład i łamanie, druk i oprawa:
MULTIPRESS G. Wodecki, D. Wodecka, B. Wodecki Sp.J.
www.multipress.com.pl

Wydawca:
MLO Paderewski w Lublinie

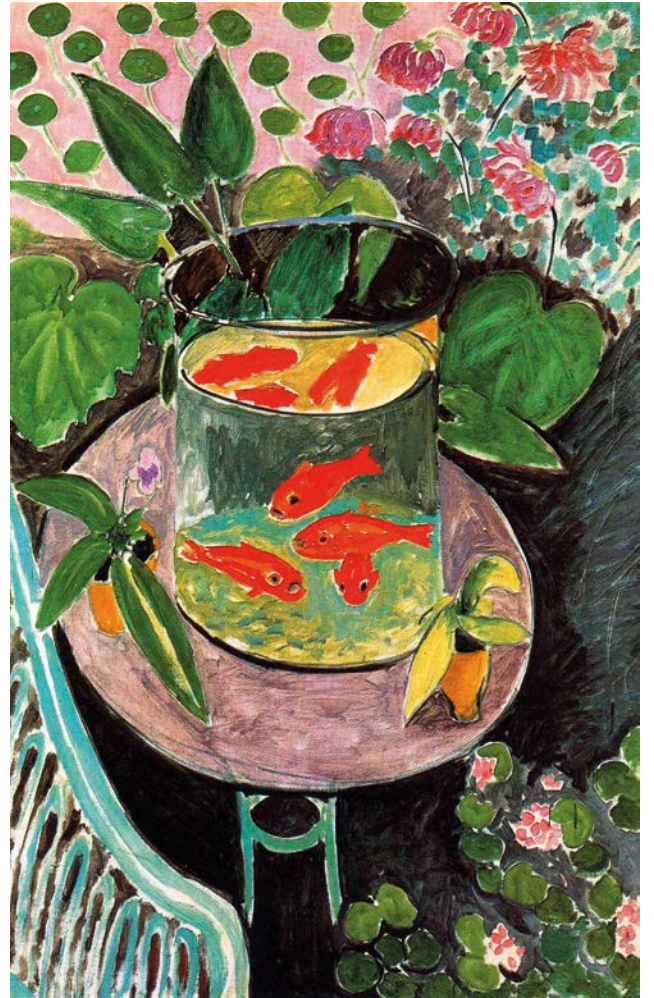
Współwydawca:
MULTIPRESS G. Wodecki, D. Wodecka, B. Wodecki Sp.J.

ISBN 978-83-953497-9-9

Antologia opowiadań wydana w celach edukacyjnych
w nakładzie 50 egz.
Książka nie przeznaczona do sprzedaży.

Opowiadania, które tu przeczytacie, powstały dawno, dawno temu, na kilka tygodni przed pierwszym lockdownem z marca 2020 roku. Ich Autorki i Autorzy, dziewczyny i chłopaki z pierwszej klasy MLO Paderewski w Lublinie, dopiero rozkręcali się w naszej szkole. Nie pisali opowiadań z myślą o publikacji. W ramach zajęć rozszerzonych z j. polskiego wybrali dowolne obrazy, które miały spełnić dla nich rolę impulsów twórczych. Efekty ich kapitalnej wyobraźni macie przed sobą.

Źródłem tego projektu była wydana w 2018 roku książka *Inne światy*, antologia opowiadań inspirowanych obrazami Jakuba Różalskiego, którego wizje malarskie są jedyne w swoim rodzaju. Dziękujemy jemu samemu oraz Joannie Karpowicz, Mariuszowi Lewandowskiemu, Paulowi Nong i Lily Paduli za zgody na wykorzystanie ich obrazów w naszej antologii.



Henri Matisse *Goldfish*

Anna Skorzyńska
Rybki

Andrzej obudził się w swoim mieszkaniu. Przetarł oczy i wstał z łóżka. Letnie słońce świeciło przez szprosy w oknie, tworząc ponury cień więziennych krat. To przypomniało mu dawne lata, kiedy to został aresztowany za podobno drobne przestępstwo, ale nigdy nie chciał rozwinąć tej myśli. Nie był to może moment życia, z którego był specjalnie dumny, ale za to w tym czasie za kratkami zasmakował najlepszej jajecznicy w całym swoim życiu. Taką też postanowił przygotować na dzisiejsze śniadanie. Przepis składał się z trzech składników – jajek, pieprzu i miłości. To ostatnie przychodziło mu najtrudniej, jednak jakoś dał radę.

Zjadł śniadanie i postanowił wyjść do miasta. Przechadzał się boczną ulicą, kiedy na chodniku znalazł złotówkę. Za zakrętem ukazał mu się sklep „Wszystko za złotówkę”. Uznał, że to musi być przeznaczenie. Andrzej generalnie wierzył, że nic nie dzieje się bez powodu. Na przykład kiedyś spadła mu na głowę doniczka, ale dzięki temu miał na głowie ranę. Może nie jest to zbyt dobry przykład, ale Andrzej nie był zbyt dobry w myśleniu. Wszedł do sklepu. Jego oczom ukazały się przeróżne rupiecie. Gumki

w kształcie hot dogów, chińskie lakiery do paznokci, odbłaskowe breloczki i ryby.

Chwila, ryby? – pomyślał.

– Ile te ryby kosztują? – zapytał kasjerki.

– Złotówkę.

Czerwona ryba przywarła łebkiem do szyby i wlepiła w niego swoje wielkie rybie oczy. W tych oczach nie było niczego, sama pustka, czarna dziura. Ta rybia bezdusznosc urzekła Andrzeja.

– To poproszę te ryby.

– To będzie złotówka.

Andrzej, uniesiony euforią po zakupieniu dwulitrowego akwarium z rybami, wręczył kasjerce ową złotówkę, powiedział, że reszty nie trzeba i wypadł ze sklepu z nowym zakupem. Po chwili zdał sobie sprawę, że ryby trzeba również karmić. Kompletnie o tym zapomniał, ale teraz było już za późno. Wraz z rybami wybrał się na zakupy, wywołując na twarzach przechodniów mieszankę rozbawienia i zdziwienia. Zakupił karmę i zabrał zwierzątko do domu.

Powoli zaczynało się ściemniać. Stał w oknie i zapalił. Bardzo się ucieszył, że ryby nie mają nosa, bo mogłyby się na niego obrazić. Ciemny dym sączył się z papierosa. Patrzył na ludzi w oknach i na ulicy. Patrzył i patrzył, aż w końcu zobaczył. W jednym z okien stała osiedlowa piękność, Esmeralda. Jej szmaragdowe oczy komplementowały kolor jej dresu. Zwykła mówić, że był to jej ulubiony. Miał cztery paski, więc sądziła, że niczym czterolistna koniczyna przynosił szczęście. Miała piękne, wypukłe, syntetyczne usta. Jej brwi były umalowane równiutko w dwie smukłe

wygięte kreski, a na oczach mienił się agresywnie różowy, brokatowy cień. Andrzej poczuł, że jego sercem coś targnęło. Czy to miłość? Czy to zawał? Miał nadzieję, że to jednak zawał, nie umiał nigdy wchodzić w związki i generalnie nie kręcił go ten koncept. Jednak myśl o tej kobiecie nie dawała mu spokoju. Postanowił, że pójście spać jest w tym momencie najlepszym rozwiązaniem.

Zamknął oczy i ułożył się do snu, jednak zaczęło mu przeszkadzać światło z lampki nocnej. Jedyne problem był taki, że nie posiadał takiej lampki. Wstał i zbadał miejsce, z którego dochodziło światło. Okazało się, że to ryby za złotówkę zaczęły świecić. W sumie, patrząc na otoczenie, w którym stały, nie można się zbyt dziwić. Andrzej ucieszył się, bo zaoszczędzi na oświetleniu sypialni. Ale niestety ryby miały jedną wadę: nie miały wyłącznika. Uznał to za drobną niedogodność i postanowił, że najłatwiej będzie zainwestować w maskę na oczy do spania.

Wstał. Myśl o Esmeraldzie jednak nie opuściła jego głowy, tak jak miał nadzieję. Zaczął się zastanawiać co zrobić, żeby wybrnąć z tej niekomfortowej sytuacji. Szybki spacer mógłby być dobrym pomysłem. Wyszedł bez śniadania. Dzisiaj przechadzał się inną ulicą. Padało. W kałużach odbijały się twarze ludzi patrzących w ziemię, a woda w miazę przechodzenia zabawnie je deformowała. Krople deszczu powolnie spadały z drzew i parapetów na jego głowę. Zmierzwione brunatne włosy przemokły i przybrały barwę smoły. Co dziwne, ten ponury klimat naprawdę go uspokajał. Kompletnie zapomniałby o dziewczynie z okna, gdyby nie fakt, że znikąd pojawiła się przed nim. Miała dwie siatki,

jedną z Żabki, a drugą z Biedronki, cóż za ambiwalencja. Oblał się rumieńcem i podjął szybką decyzję o skręceniu w inną ulicę. Miał nadzieję, że go nie zauważyła, chociaż kompletnie nie było do tego powodu; przecież nie miała pojęcia, że on w ogóle istnieje. Przystanął za przystankiem i poczuł się bezpiecznie. Nagle zza jego pleców przemówił jakiś damski głos.

– Ty, młody. Masz zapalniczkę?

Zdał sobie sprawę, że to nikt inny, jak właśnie Esmeralda.

Nie odpowiedział. Wsiadł w najbliższy nadjeżdżający autobus.

W domu usiadł zdenerwowany swoim zachowaniem i w ogóle faktem, że on, Andrzej Sober we własnej osobie, może coś czuć.

Patrzył na ryby powoli pływające po akwarium.

– Rybo, proszę, daj mi znak, jeśli powinienem do niej pójść.

– Gul gul gul bu bul gul gul...

W sumie nie wiedział, czego się spodziewać. Podziękował i podszedł do lustra.

– Hej, mała, interesujesz się może wędkarstwem? Bo nie-
zła sztuka z ciebie.

Nie, nie, nie. Co ty wyprawiasz? Od nowa.

– Cześć, czy jesteś hydraulikiem? Ja też nie, mamy tyle
wspólnego.

Chyba ze mną coraz gorzej.

Czemu ja się tym przejmuję?

Nie mógł dzisiaj spać. W sumie nie zjadł obiadu, więc uznał, że wyjdzie coś zjeść. Wyszedł około 21. Prawie

wszystko było już zamknięte. Znalazł w końcu jakiś otwarty sklep. Był co prawda nieco podejrzanym, a kasjerka chciała mu wcisnąć przeterminowane krówki za pół ceny, ale w końcu udało mu się wynaleźć coś jadalnego. Oparł się o tylną ścianę budynku i zaczął jeść hot doga. Znow zaczęło padać. Popatrzył na wielką kałużę i wydało mu się, że widzi w niej jej twarz. Spojrzał ponad kałużą, a tam, ku jego zdziwieniu, była ona.

– Czy my się znamy? – zapytała twarz z brwiami wygiętymi chyba bardziej niż zazwyczaj.

– Możliwe... Słuchaj, mam pytanie...

– Tak?

– Cz-czy chci-ciałabyś w-wyjsc ze mną na h-herbatę?

– Ciekawe. No dobrze, w takim razie czemu nie?

Nieco zaskoczony tym co właśnie zrobił, pomyślał: „Co ja właśnie zrobiłem?”

Zrobili, tak jak ustalili. Poszli na herbatę do pierwszej lepszej otwartej restauracji, niestety okazała się nią stacja benzynowa, ale nadal nie ujmowało to romantyzmu sytuacji. Rozmawiali przez dłuższy czas. Oboje zamówili zwykłe czarne herbaty. Dobrze im się rozmawiało. Później zdecydowali wyjść na spacer po mieście. Nadal padało, więc schronili się pod jedną parasolką. Wymarzony wieczór niczym z paryskich historii miłosnych. W końcu Andrzej zaproponował, żeby pójść do jego mieszkania.

Esmeralda zgodziła się i za parę chwil znaleźli się w jego mieszkaniu.

Usiedli na starej peerelowskiej kanapie, chyba nawet wystawała z niej jedna sprężyna. Na szczęście, tym razem, nikt

na nią nie trafił. Meble vintage to trochę taka rosyjska ruletka, nigdy nie wiadomo, czy w szafie będzie wieszak, czy martwy wąż, czy też druga mniejsza szafa. Andrzej natrafił kiedyś na szafę, w której była inna, mniejsza szafa, a w niej mniejsza, i mniejsza, a w najmniejszej był martwy wąż. Od tego czasu miał lekką awersję do mebli z drugiej ręki.

Bawili się dobrze. Trochę wypili, trochę zjedli, krótko mówiąc, zabawa była niesamowita. Trochę upojeni, a trochę zakochani, poszli do sypialni i zaczęli się całować. Wtem Esmeralda zauważyła akwarium.

- Czy to są... ryby??

- Tak.

- Nienawidzę ryb.

- Jak to? To moje ulubione zwierzęta.

- Słuchaj bratku, bardzo mi się dobrze z tobą układa, ale albo ryby, albo ja, wybieraj.

- Przecież nie wyrzucę ry...

- Dość tego. Wychodzę. Zmarnowałeś swoją szansę, a drugiej już mieć nie będziesz.

Zrobiła tak, jak powiedziała i do tego trzasnęła drzwiami. Andrzeja naprawdę zdziwił ten nagły i niespodziewany wybuch. Musiała naprawdę ich nie lubić.

Poczuł się dziwnie. Już jej nie kochał. Znów był tym samym nijakim i samotnym człowiekiem. Bardzo go to ucieszyło. Poczuł się wolny.

Może te ryby za złotówkę faktycznie były przeznaczeniem, pomyślał i znów usiadł w oknie, żeby szukać nowych wrażeń.



Joanna Karpowicz *Tunnel*

Hania Wiejak

Tunel

„Szary, podziurawiony asfalt. Oślepiający blask świateł. Zapach paliwa. Od czasu do czasu dźwięk klaksonu. Większość z nas, myśląc o tych sensacjach, wzdryga się, przypominając sobie długie godziny bezsennych podróży samochodowych, podczas których naszym jedynym źródłem energii było tłuste jedzenie z McDonalda.

Ona jednak zawsze kochała jazdy samochodowe. W dzieciństwie jej ojciec często woził ją po mieście samochodem, by mogła wreszcie zasnąć po wielu godzinach wiercenia się w swojej błękitnej kołysce. Kto wie, może to właśnie stąd wzięła się jej pasja do jeżdżenia godzinami bez konkretnego celu? Potem podróże przestały ją usypiać. Wręcz przeciwnie. Za każdym razem gdy wsiadała do swojego auta, czuła, jakby cała reszta jej życia była snem, z którego dopiero się obudziła.

Z każdą podróżą przybywały nowe wspomnienia. Małe i duże. Zapach frytek, które zamówiła na lokalnej stacji benzynowej, a także to, jak niedobrze jej było po ich zjedzeniu. Ten jeden raz, gdy zły taksówkarz zatrzymał się na środku ulicy, by nakrzyczeć na nią za zajechanie mu drogi, kiedy to

ona miała pierwszeństwo. Naprawdę śliczne świąteczne iluminacje świetlne, które zobaczyła przejeżdżając przez jedno z mniejszych miast. Jazda była dla niej wieczną przygodą.

Tym, co sprawiało jej jeszcze większą przyjemność, było spoglądanie przez szyby samochodu na ludzi, których mijala. Ludzi, których przeważnie widziała pierwszy i najprawdopodobniej ostatni raz w swoim życiu. Ludzi, którzy często byli dla niej tylko kolorowymi smugami widzianymi przez krótką chwilę. Matki, które kłóciły się ze swoimi dziećmi na stacjach benzynowych, pary pijące milkshaki jedną słomką.

Tunele były czymś pochłaniającym najwięcej jej uwagi. Zawsze mówiła, że przypominały jej życie. Wiesz, co jest na początku. Wiesz, co czeka cię na końcu. Jednak nie wiesz, co czeka cię podczas drogi z jednego punktu do drugiego. Jest to droga pełna niespodzianek. Otacza cię ciemność. Czasem maskę twojego samochodu rozświetlają reflektory jadącego z naprzeciw auta. Nim się zorientujesz, już go nie ma. Przemija, tak jak ludzie w naszym życiu”.

Głos kobiety drży, gdy jej mowa pogrzebowa dobiega końca. Parę słów na papierze, gdzie ją zapisała, jest rozmazanych łzami, które nie wiadomo kiedy zaczęły spływać po jej policzkach. Nerwowo zgina kartkę do momentu, gdy ta jest tylko małym kwadracikiem. W kościele siedzi bliska rodzina i przyjaciele zmarłej. Większość z nich szlocha, niektórzy próbują się powstrzymywać, mrugając. Kobieta tłummi resztę swoich łez. Przecież na końcu tunelu zawsze jest światło, prawda?



Jakub Różalski 1920 – *Polańscy ułani na patrolu*

Szymon Wenerski
Tajemnica ciemnej alejki

Było spokojne, czerwcowe popołudnie. Na dworze mocno świeciło słońce. Łukasz, szesnastolatek, pierwsze dni wakacji przeznaczył na spotkania ze znajomymi. Tego dnia wybrał się nad Zalew Zemborzycy. Tam, razem z kolegami i koleżankami ze szkoły, przebywał przez cały dzień. Wszystkim udzieliła się sielankowa atmosfera, czuli już klimat wakacji. Wokół basenów roilo się od rozweselonej młodzieży, biegających dzieci i uśmiechniętych rodziców.

Pod wieczór Łukasz, pożegnawszy serdecznie znajomych, ruszył w drogę do domu. Słońce zachodziło, jednak nad Zalewem dalej było ciepło i parno. Łukasz był spokojny i wesoły. Patrząc z boku, można było zobaczyć wysokiego młodzieńca, w krótkich spodenkach i okularach przeciwsłonecznych, powoli zmierzającego w stronę pętli autobusowej. Idąc lekkim krokiem, zauważył nagle coś, co z jakichś powodów bardzo go zaniepokoiło.

Mimo że był raczej odważnym, twardo stąpającym po ziemi człowiekiem, na plecach poczuł dreszcz. Co gorsza, zauważył, że uwagę na to zwrócił tylko on i jedna młoda

dziewczyna, reszta ludzi przechodziła obojętnie, jakby byli w hipnozie wakacyjnego popołudnia.

Widział coś na kształt dużego metalowego robota, wysokiego na kilka metrów, przypominającego sylwetką człowieka, ale bez głowy. W pierwszej chwili zaczął się zastanawiać, czym może być ta metalowa konstrukcja. Później zdziwiło go, dlaczego ludzie nie reagują na jej widok? Uznał, że może robot jest zbyt niewidoczny i dlatego ludzie przechodzą obojętnie. Ta myśl na chwilę uspokoiła go, mimo iż wiedział, że nie ma logicznego uzasadnienia. No dobrze, stoi tu jakaś – co prawda dziwna – metalowa konstrukcja, ale co go to zresztą obchodzi?

Odrzuciwszy wszystkie myśli związane z tym intrygującym odkryciem, wsiadł do autobusu i pojechał do domu. Późnym wieczorem położył się spać. Gdy wygodnie ułożył się w łóżku, poczuł pewien niepokój. Mimo miłego wakacyjnego dnia, coś budziło w nim uczucie niepewności. Leżał, a przez otwarte okno wpadał do pokoju zapach letniego, ciepłego wieczoru. Słyszał dźwięki powoli zasypiającego miasta. Gdzieś w oddali jechała karetka na sygnale, słychać było szum samochodów pędzących pod blokiem: klimat lubelskiego, czerwcowego wieczoru, początek długiej, cieplej nocy.

Nieśmiało wyrzął przez okno. Patrząc na spokojnie kołyszące się drzewa, oblane ciepłym światłem ulicznych latarni i wyjeżdżający z przystanku nocny autobus, odczuł, że dzisiejsze tajemnicze znalezisko jednak odcisnęło piętno na jego wyobraźni. Czuł, że to nie była zwykła, metalowa konstrukcja, ale coś niezwykłego. Myśli związane z odkryciem

nad Zalewem Zemborzyckim długo nie dawały mu zasnąć, jednak w końcu odpłynął w objęcia Morfeusza.

Nazajutrz słońce nieśmiało wyglądało zza chmur, ale wciąż panował upał. Łukasz postanowił nie przejmować się wczorajszym odkryciem. Uznał, że było to urojenie i zamierzał dalej beztrudnie spędzać wakacje. Chwilę po śniadaniu jechał autobusem z Kalinowszczyzny w stronę dzielnicy Czuby, gdzie umówiony był z dwójką dawnych przyjaciół ze szkoły podstawowej. Gdy wsiadł do autobusu, jego zamiar zaczął słabnąć w starciu z natrętnie wciskającymi się myślami o wczorajszym dniu. W okolicach Parku Saskiego, gdy głowa pękała mu od różnych wizji i rozmyślań, a dziwaczna konstrukcja – którą widział, czy tylko zdawało mu się, że tam była? – budziła w nim lepki niepokój, powziął mocną decyzję. Uznał, że dopóki nie wróci do tamtego miejsca, natrętnie myśli go nie opuszczą.

Gdy autobus zatrzymał się na przystanku, gwałtownie zerwał się z miejsca. Jak opętany przepchnął się przez tłum ludzi do wyjścia, otoczony wdychaniem staruszek: „bezcelny” i „o taka to dzisiejsza młodzież!”. Nie zwrócił na to uwagi. Jak w amoku pobiegł w stronę ulicy Lipowej, by po chwili mknąć zatłoczonym autobusem w stronę Zalewu Zemborzyckiego.

Wtedy nadszedł moment zastanowienia. Od dusznego, gęstego powietrza zatłoczonego autobusu zakręciło mu się w głowie. Oparty o zimną poręcz, dojechał nad Zalew. „Co ze mną nie tak?” – myślał. „Działam pod wpływem emocji”. Wsiadł i udał się w miejsce wczorajszego zdarzenia.

Metalowej konstrukcji nie było, ale... stała tam ta sama dziewczyna, którą zauważył wczoraj.

Przeszedł go dreszcz. Zrobiło mu się słabo i ciężko opadł na pobliską ławkę. Dziewczyna, którą całkowicie wyparł z pamięci, stała w tym samym miejscu, tak samo ubrana, w tej samej pozycji. Siedział, obserwując ją. Jęknął, gdy zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie porusza się, tkwi nieruchomo, zupełnie jak... zupełnie jak... wczoraj? W jego głowie zapanowała pustka, w oczach strach. Nie wiedział już kompletnie nic. Czym był ten złom, który tak go wystraszył wczorajszego wieczoru, i dlaczego ta przeklęta dziewczyna dalej stoi, wpatrując się w obiekt, który nie istnieje? Kropla potu zatrzymała się na lewej brwi. Otarł twarz i przeczesał włosy. Wstał z ławki, ale zachwiał się, mimo że był trzeźwy jak niemowlę. Powolnym, pewnym krokiem podszedł do dziewczyny. „Raz się żyje” – przebiegło mu przez myśl. Zatrzymał się w bezpiecznym dystansie dwóch metrów. Zmierzył ją chłodnym wzrokiem, a to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. W oczach dziewczyny był obłęd, a jej blada twarz miała w sobie coś z najstraszniejszego horroru. A jednak uznał, że mimo to wygląda... wygląda całkiem normalnie.

– Przepraszam, wiesz, która godzina? – zapytał zduszonym głosem.

– Za piętnaście pierwsza – warknęła dziewczyna. Zaskoczyła go ta szybka odpowiedź, jej ordynarny, nie znoszący sprzeciwu ton. Dziewczyna nawet nie spojrzała na zegarek.

– Dziękuję – słowo nie chciało wyjść z gardła. Nie wiedział co dalej. Bez zastanowienia zaczął:

– Jestem kelnerem... tu, blisko... w restauracji i...

(Co za idiota! Po co kłamiesz?)

... y... ekh... Ale na co ty się właściwie... patrzysz?

Nim odpowiedź nadeszła, przeraźliwie wrzasnął i zaczął biec, biec tak, jak jeszcze w życiu nie biegał. Tętno waliło mu w skroniach, paniczny strach zablokował myśli. Za nim biegła dziewczyna. Uciekała? Gonila go? Nie ważne, ale robot... to nie był robot, roboty nie mają... nie mają...!

(Flaków? Chryste, to były... co to, na Boga, było?!)

Nie zważając na nic, biegł przed siebie. Omijał puste ławki,

(Gdzie podziali się ludzie? Ludzie...!)

za sobą widział tę dziewczynę, ruszała się, tak, teraz na pewno się ruszała! Biegł wzdłuż brzegu Zalewu, dościgała go, słyszał, jak gwałtownie wciąga powietrze, i wtedy poczuł na sobie zimną dłoń,

(szpon)

kóra wbija paznokcie w jego kark. W ułamku sekundy dziewczyna minęła go, a gdy obróciła głowę, rzucając przeżalone spojrzenie, druga zimna dłoń...

(szpon)

... chwyciła jej twarz. Przez stalowe palce pociekła krew. Łukasz zawisł w powietrzu, jak kociak, piśczołotliwie złapano za fałd skóry na karku. „Złapał mnie, to koniec, złapał mnie...”

– Chłopaku, chłopaku! – stalowe palce na jego barku.

– Co z tobą? Końcowy, wysiadaj. – Kierowca już nim nie potrząsał. Obrzucił go niechętnym spojrzeniem. W rękę trzymał nadgryzioną kiełbasę.

Czuby. Końcowy.



Kacper Warda
Spadając

Erik leżał na dziwnej, puchowej kuli. Wokół niego walała się masa porozrzucanego gruzu i różnego złomu. Zaspy uformowane z resztek jakiejś maszynierii tworzyły jakby dolinę w środku zapomnianego miasta. Metalowe wieże przypominały ogromne drzewa, a zwisające z nich kable były jak liany. Wszystko spowijała głęboka ciemność, skrywając wiele tajemnic tego przeklętego miejsca.

Chłopak powoli otworzył oko, potem drugie, tępo wpatrując się w leżącą kilka metrów przed nim cegłę. Czuł, jak całe ciało zaczyna mrowić, coraz bardziej i bardziej, jakby wracało do życia lub się restartowało. Kiedy mrowienie ustało, powoli unióśł się na lewej ręce, ale gdy tylko to zrobił, niewyobrażalny ból wstąpił w jego drugą dłoń. Twarz wykrzywił mu grymas. Spojrzał na swoją prawicę, ale jego oczom ukazał się tylko zakrwawiony strzęp powykręcany w najróżniejsze strony. Źrenice mu się rozszerzyły, złapał fragment mięsa, który zaledwie przypominał niedawną część jego ciała. Nie wierzył, że to, co widzi, nie jest iluzją, i wtedy, jakby na zawołanie, dłoń wygięła się, odsłaniając pokruszoną kość.

Jego krzyk natychmiast rozniósł się echem po całym tym grobowym złomowisku. Z przerażeniem oglądał ochłap dłoni, trzymając go blisko klatki piersiowej, jakby cenną zabawkę z dzieciństwa, której maluch nie chce oddać matce. Tak bardzo chciał, aby mu jej nie zabierano... Dyszał gwałtownie. Twarz pokrywały mu łzy, śluz i krew. Zaciśnął zęby i spróbował wyrównać oddech. Na ziemi obok zobaczył metalowy naszyjnik – srebrny łańcuch cały pokryty brudem. Jego jedyną czystą częścią było koło przebite mieczem – emblemat zakonu altiorów.

Erik ciężko oddychał, bez słowa wpatrując się w coś, za czym gnał przez tyle lat. Skulił się i mocno zaciśnął ocalałą pięść, powstrzymując z całych sił kolejny atak oślepiającego bólu. „Przysiągłeś być rycerzem w czasach najciemniejszych...” – powiedział do siebie w myślach. – „...a teraz wcale nim nie jesteś!”

Ześlizgnął się z kuli i spadł na twardą kamienną posadzkę. Od razu poczuł kolejną falę bólu, płynącą z całego ciała, ale zaciśnął zęby i czekał aż przeminie. Kiedy mógł już myśleć, podniósł poranioną głowę. W górze widział tysiące mostów, jedne nad drugimi. Zasłaniały całe niebo, nawet promień światła nie przechodził przez ten labirynt.

To miejsce nie przypominało jego pełnego światła, życia i harmonii domu. Jak się tu znalazł? Nagle zaczęły płynąć niepohamowanie wspomnienia: eskorta Lady Alice, kradzież jej torebki, pogoń za złodziejem, skok nad mostem, a potem... „Potem... spadłem” – Dokończył Erik. – „Ale jak daleko? Nie sądziłem, że nasze miasto jest tak głębokie...”

Jedynie, o czym nam zawsze mówili, to żeby nie schodzić poniżej poziomu A”.

Ręka wciąż bolała jak diabli. Na początku, aby się uspokoić, postanowił sprawdzić stan ekwipunku. Na przechadzkę z żoną burmistrza nie zabrał poważnego sprzętu. Wszystkie lekkie siłowniki, wzmacniające jego siłę fizyczną, były uszkodzone, a ten na prawej ręce, absorbując całą energię upadku, kompletnie się rozpadł. Prawdopodobnie dlatego ręka trzymała się jeszcze ciała. Kombinezon nie był w najgorszym stanie, ale nie nadawał się do poważnych misji.

„Jeszcze automatyczny rewolwer, dwadzieścia naboji, sztylet, wibro-miecz, trochę wody, dokumenty, emiter, jakieś jedzenie, kompas...” – wypakował pozostałe rzeczy. – Nie za wiele, nie mam nawet nic, aby opatrzyć rękę... Zrobię chustę i bandaż z płaszcza, ale to nie wystarczy, muszę jak najszybciej znaleźć wyjście... i tego złodzieja”.

Erik rozejrzył się. Tylko jedna ścieżka, nad którą znajdował się potężny łuk – jakby brama – nadawała się do przejścia. Wszystkie inne były zavalone gruzem i złomem.

Erik zaczął przygotowywać opatrunek na rękę. Nie było to łatwe. Najpierw rozciął płaszcza. Musiał przytrzymać materiał stopami, by go naprężyć. Sztylet łatwo przecinał sztywne sukno. W końcu udało mu się wykroić kilka prostych pasków.

Niechętnie myślał o następnej części zadania. Prawa dłoń swoim wyglądem przyprowadzała o mdłości. Znalazł kawałek prostej deski i przytrzymując złamaną rękę między kolanami, zaczął ją stabilizować. Przy najmniejszym ruchu ból ponownie się pojawiał, jednak Erik metodycznie zawiązywał

kolejne bandaże. Na koniec z porwanej szmaty utworzył prowizoryczny temblak.

Był gotów stawić czoła temu miejscu. Jego emiter był za słaby, aby całkowicie oświetlić drogę przed nim. Wydawało mu się, że wkracza w zupełnie inny świat, z którego nie było odwrotu.

Erik odruchowo odwrócił się, jak przed każdym zadaniem. Chciał pożegnać się ze wszystkim, co mu było znajome. Zwykle był to jego ulubiony fotel, kot Mruczek, kolekcja panoramicznych zdjęć i jego mała roślinka. Tym razem ujrzał jednak ziemię pełną gruzu, złomu, porozrzucanych śmieci i tajemniczą miękką kulę, która uratowała mu życie.

„Nie ma do czego wracać...” – pomyślał. – „Mogę iść tylko przed siebie”. I ruszył powolnym krokiem.



Edward Hooper Gas

Katarzyna Sochaj
Lokalna społeczność

Odkąd tylko pamiętam, wszyscy mnie znali, przychodzili do mnie, załatwiali tu swoje interesy, tankowali, myli auta, spotykali się ze znajomymi. Byłam ich chlubą. Pomimo mojej popularności nikt nie znał mojej właściwej nazwy. Myślałam, że nawet gdyby ją znali, to i tak nikt by jej nie używał. Nazywali mnie po prostu „stacją benzynową w lesie” i pod takim adresem każdy doskonale wiedział o jakie miejsce chodzi. Po co zmieniać coś, co jest jasne i zrozumiałe dla wszystkich? Po co mieszkańcy mieliby się gubić i głowić, co to właściwie jest? Nie znajdowałam się przy jakiejś ruchliwej drodze ani w wielkim mieście. Stałam w lesie pośrodku niczego. Ale ja lubiłam to nasze wspólne „nic”. Mieszkańców w okolicznej wiosce było może czterystu. Nie więcej! Ponadto w okolicy nie było innej stacji benzynowej, więc każdy przyjeżdżał do mnie. W związku z tym znałam każdego, wiedziałam gdzie kto mieszka, czym się zajmuje i co u niego słychać. Żadna lokalna plotka nie była mi obca. Lubiłam tę okolicę. Dużo zieleni, zwierząt i jezior – bliski kontakt z naturą. Pomimo pięknego otoczenia nikt obcy nas nie odwiedzał. Ciągle widziałam te same, znajome twarze.

Zawsze najbardziej lubiłam noc. Wszyscy mówili, że wtedy jest niebezpiecznie, ale nie u nas. Kto miałby przyjechać do naszej wsi i po co? Nie mieliśmy dużych pieniędzy, zresztą jak każdy w tych czasach. Noce budziły we mnie zainteresowanie i podekscytowanie. Miewałam wrażenie, że o tej porze odwiedzało mnie najwięcej klientów, ale mogłam się mylić. Na pewno sprawy z jakimi nocą przyjeżdżali klienci były bardziej nietypowe i interesujące. Miałam pewność, że tej nocy też tak będzie.

Mniej więcej około godziny 21:11 na podjazd do tankowania zajechała czerwono-biała warszawa FSO. Ach, warszawa! Jaka ona piękna! Niestety, ponieważ mieszkaliśmy na odludziu, rzadko widywałam tak eleganckie samochody jak ten, lecz kiedy już się zjawiały, zawsze zapewniały mi wiele atrakcji. Wszyscy wiedzieli, do kogo należała biało-czerwona warszawa, której drzwi właśnie się otworzyły. To ona, panna Krysia. „Ta panna Krysia, panna Krysia” – jak głośno słowa znanej i popularnej piosenki, była wyjątkowym kierowcą. Wszyscy twierdzili, że zupełnie sama przejechała tą właśnie biało-czerwoną warszawą FSO do Jugosławii i z powrotem. Nikt nie wiedział jednak, co tam robiła i czy miała tam jakichś znajomych. Panna Krysia od zawsze była sama. Może w Jugosławii też tak było. A może to w Polsce miała jakichś męczących znajomych, o których nikt nie miał pojęcia i do Jugosławii jeździła, by pobyć sama? A może to właśnie tam ktoś na nią czekał? Panna Krysia opuściła swoje duże czerwone okulary przeciwsłoneczne, które kupiła w kraju bałkańskim, zatankowała auto i poszła zapłacić. Te jej okulary, nigdy ich nie zdejmowała.

Ciekawe czy chodziła w nich również po domu? Zawsze kiedy ją tu widziałam, miała je na sobie. Pospiesznie wróciła do samochodu i odjechała, nie wiadomo gdzie. Stale wyglądała jakby się gdzieś bardzo spieszyła. Gdzie tym razem tak ją ciągnęło? Może ponownie do Jugosławii?

O godzinie 21:57 przyjechał milicjant Andrzej. Ach, milicja... We wsi nikt ich nie lubił, ja zresztą też. Często przyjeżdżali i robili problemy zamiast je rozwiązywać. Ale pan Andrzej był inny. On naprawdę chciał dobrze. Bardzo angażował się w zleconą mu pracę i sumiennie ją wypełniał. Trzeba też wspomnieć, że pan Andrzej nie był, powtarzam: nie był komunistą. Nie był też draniem. Nikt więc nie wiedział czemu pracował w milicji. Niektórzy mówili, że dla zarobków, co w gruncie rzeczy mogło być prawdą. A może chciał pomagać innym? Czy za pośrednictwem milicji można w ogóle komukolwiek pomóc? Ja sama nie wiedziałam, ale pana Andrzeja, tak jak resztą wioski, darzyłam szacunkiem i sympatią. Milicjant prowadził teraz śledztwo. Bowiem naszą wioskę ostatnio sparaliżowała informacja o zaginięciu panny Agnieszki. Wszyscy ją znali i lubili. Była taka młoda i pełna życia. Gdzie teraz była? Na to pytanie pan Andrzej starał się znaleźć odpowiedź. Robił wszystko co w jego mocy, lecz bez skutku. Panny Agnieszki jak nie było, tak nie było. Wszyscy i tak wiedzieli, że została zamordowana, nikt jednak nie wiedział, gdzie znajduje się ciało. Nie wiedział tego także milicjant, pijący właśnie kawę. Cóż... nie wiedział również, że w tym momencie znajduje się raptem kilka metrów od ciała panny Agnieszki. Ale może tak było lepiej? Szkoda

tylko pana Andrzeja, tak bardzo chciał znaleźć córkę państwa Wróblewskich.

Później, chyba po 23:00, nie pamiętam dokładnie kiedy, przyjechało dwóch nastolatków. Od razu poznałam jednego z nich. Zawsze rozwichrzone włosy i głowa w chmurach. Nigdy nie umiał zachować się poważnie. Jego rodzice mówili, że ich aresztują przez niego. A on nic sobie z tego nie robił. Podobno drukował jakieś ulotki antykomunistyczne w piwnicy i to dlatego mieli ich aresztować, ale tego pewna nie byłam. Usłyszałam to kiedyś, gdy odwiedzili mnie jego sąsiedzi. A dziewczyna? W samochodzie siedziała jakaś dziewczyna. A, no tak. Córka Sosnowskich nie odstępowała tego łobuza na krok. A może to on nie umiał jej zostawić? Ludzie mówili, że się pobiorą, ale oni jeszcze młodzi byli. Tym bardziej Sosnowscy zapewne byliby przeciwni takiemu małżeństwu i woleliby wydać córkę za kogoś szlachetniejszego niż syn Nowaków. A jak na złość córka Sosnowskich ze wszystkich chłopaków dogadywała się najlepiej z synem Nowaków. Ten nerwowo kręcił się po moim terenie, ciągle spoglądał na radziecki zegarek, który dał mu wujek na komunię i mruczał coś pod nosem. Uciekali. Tak, na pewno uciekali. Może mieli już dosyć zaborczych rodziców dziewczyny? Wszyscy wiedzieli, że córka często kłóciła się z nimi o swego chłopaka. Tak, zdecydowanie to mógł być powód. Ale gdzie uciekali? Z szeptanych słów, które chłopak wypowiadał do siebie, nie dało się nic zrozumieć. A ja tak bardzo chciałam poznać cel ich podróży. Syn Nowaków w końcu przestał kręcić się bez żadnego sensu, otworzył drzwi od samochodu, wszedł, odpalił silnik

i odjechali. Czułam, że nie wrócą szybko, a szkoda, lubiłam te dzieciaki.

Okolo 02:14 na stację przyszedł pan Krawczyk. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Błąkał się między pustymi półkami, na których w normalnym kraju powinny leżeć produkty. Nasz kraj nie był normalny. I pan Krawczyk doskonale o tym wiedział. Wiedzieli też inni, że pan Krawczyk za wojny działał w Armii Krajowej, a teraz jest przeciwnikiem aktualnego rządu. Wiedzieliśmy też, że z tego powodu miał różne nieprzyjemności, zwłaszcza w pracy. Niektórzy mówili, że był podsłuchiwany, ale tego nikt nie był pewien. Po chwili kręcenia się po sklepie zapytał, czy to, co jest na półkach, to cały asortyment. Pan Boguś, sprzedawca na stacji, potwierdził i dodał, że nic innego do poniedziałku nie będzie. Po chwili namysłu pan Boguś powiedział jeszcze, że jeżeli potrzebuje czegoś, to on może spróbować zamówić. Na to pan Krawczyk odpowiedział, że on nie może czekać i do poniedziałku musi stąd odjechać. Podziękował za pomoc i wyszedł. Od tamtego czasu pan Krawczyk już nigdy nie pojawił się u mnie ani na wsi. Ludzie mówili, że jakimś cudem wyjechał z Polski i żyje teraz w wolnym kraju. Inni podejrzewali, że został aresztowany przez milicję, ale nikt nie mówił o tym głośno.

Po panu Krawczyku na stacji nie zjawiał się już nikt. Tak właśnie wyglądało moje życie. Każdego dnia i każdej nocy spotykałam mieszkańców okolicznej wsi. Było ich niewiele, ale każdy miał swoją własną wyjątkową historię, którą mógłby opowiadać latami. Ludzie przychodzili i odchodzili. Niektórzy opuścili naszą społeczność i już nigdy nie

wrócili, niektórzy odnajdywali się w jakichś dziwnych okolicznościach, a jeszcze inni na zawsze pozostali we wsi. Życie dalej toczyło się spokojnie, panna Krysia jeździła do Jugosławii, pan Andrzej usiłował znaleźć nieżyjącą pannę Agnieszkę, nastolatki buntowali się przeciw rodzicom, a pan Krawczyk uciekał przed komunistami. Takie już było życie mieszkańców naszej okolicznej wsi, a ja, stacja benzynowa w lesie, wiedziałam o wszystkim, co ich spotykało. Słońce powoli zaczynało wschodzić. Nie było już u mnie nikogo. Tylko pan Boguś sprawdzał pojemniki z paliwem.



Baldo Angelo Abbati *Viper* (*De Viperae Cohevntis*)

Krzysztof Sacharuk
I wtedy będziemy szczęśliwi

U podnóża ostatniej góry znajdowała się ostatnia wioska, a w niej mieszkał Eliot. Tego dnia były jego urodziny. Kiedy pracował na polu kukurydzy, jego przyjaciel Samuel przywołał go, krzycząc. Eliot pobiegł na skraj wioski, w której znajdowała się Bariera Śmierci. Za nią leżał na ziemi jego ojciec. Nie oddychał. Eliot przeciągnął go przez Bariere Śmierci, a lekarz wioski zbadał go i powiedział:

– Przykro mi, on nie żyje. Wąż to zrobił.

Następnego dnia mieszkańcy wioski współczuli chłopcu: „jaka szkoda”, „przykro mi z powodu twojej straty” i tak dalej. Eliot podziękował im, a potem znowu był sam. Miał nadzieję, że wkrótce przyzwyczai się do bycia samotnym. Tej nocy obserwował Wielką Górę, świecącą oślepiającym światłem i szaleństwem Nowych Bogów. Kto wiedział, co tam robią? Kiedy spał, śnił mu się Wąż, który zabił jego ojca. Jego kły były brudne od krwi, oczy pełne wściekłości, złości i dumy. Całe zło, którym męczył mieszkańców wsi przez setki lat, przynosząc choroby i cierpienie, odbijało się w jego gadzich zrenicach. A teraz przyniósł śmierć jego ojcu. Dość.

Eliot wstał tuż przed świtem. Napełnił torbę zapasami, a potem zebrał prochy ojca ze stosu, na którym został skremowany i włożył je do słoika po dżemie. Wyszedł na granicę wioski, do Bariery Śmierci. „Zatrzymaj się!” – ktoś krzyknął. To był wiejski lekarz. „Jeśli przekroczysz Barierę, umrzesz! Zostaw Węża w spokoju, nie da się nic z nim zrobić!” Eliot zamknął oczy, przekroczył Barierę Śmierci i wyszedł na pustynię.

Cały dzień włóczył się po wydmach, szukając Węża, ale nic nie znalazł. Widział twarz ojca na piachu. Gdzie jest teraz jego ojciec? Ten człowiek, który dał mu swój czas, swoją miłość i nauczył Eliota, jak działa świat. Rankiem przynosił śniadanie, a wieczorami koce. Wychował go! Ale jego ojciec poszedł teraz samotnie w ciemność. I Eliot wiedział, że nie może przynieść śniadania swojemu ojcu, ani okryć go kocem... ani sprawić, by ten powrócił. Wąż, ten skurwiel... zabrał mu to wszystko.

Eliot nie miał już wody i był spragniony. Widział Wielką Górę na horyzoncie i szedł w jej stronę. Po wielu godzinach wędrówki doszedł do brzegu rzeki u podnóża góry. Długo pił. Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył, że na ziemi obok niego siedzi stara kobieta. Nieznajoma pociągnęła łyk z piersiówki. Eliot ją zignorował i już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy kobieta odezwała się ochrypłym szeptem:

- Wyglądasz jak ktoś, komu przydałaby się pomoc w zabiciu Węża. – Eliot zatrzymał się.
- Co wiesz o Wężu?
- Zielony, wielki i przerażający?
- Może – odparł.

Wskazała górę.

- Widziałam go, pełznął tą drogą.

Eliot zaczął odchodzić.

- To właśnie tam mieszka Wąż – powiedziała stara kobieta. – Na górze. Właśnie tam wymyśla swoje złe plany. Słyszałam coś o tym, że właśnie zabił starego człowieka.

„Nie, ta kobieta nie znalazła się tu przez przypadek” – pomyślał Eliot. Ruszył w górę, omijając ją. Szedł kilka minut, aż znów zobaczył postać siedzącą na ziemi. To znów była ta sama stara kobieta.

- Jak się tu dostałaś?

Wyciągnęła rękę z kieszeni.

- Potrzebujesz przewodnika – odpowiedziała.

Chłopiec się zdenerwował.

- Nie chcę być niemiły, ale jesteś pijana, stara i trochę bezużyteczna, naprawdę.

- A ty niegrzeczny.

Eliot ruszył dalej, więc poszła za nim.

- Wiem o pewnych rzeczach – powiedziała. – Wiem o Wężu i Nowych Bogach.

- Śmieci – odrzekł Eliot.

- Pewny jesteś? – kusiła stara kobieta. – Zabierz mnie na górę, a nauczę cię, jak zabić Węża.

- Sam go zabiję gołymi rękami – buńczucznie odparł Eliot.

- Nie – stwierdziła kobieta stanowczo. – Nie zabijesz.

Szukali pod skałami, w dziurach, ale nigdzie nie było Węża. Musiał popełznąć dalej. I tak wspinali się, szukając śladów.

Spali ciężko, a rano zjedli śniadanie. Dla Eliota był to chleb. Dla starej kobiety był to płyn z piersiówki. Szli w górę. Do południa byli już wystarczająco wysoko, by obejrzeć krajobraz aż po horyzont: widać było wioskę Eliota; nic nadzwyczajnego, tylko kilka budynków i strzępy dymu w dolinie.

- Czy są inne wioski na świecie? – zapytał Eliot.
- Nie.
- A były kiedyś?
- Tak.
- Kiedy?
- Dawno temu. Kiedyś istniały bardzo duże wioski zwane *miastami*. Było wtedy naprawdę wielu ludzi.
- Co się z nimi stało?
- Ambicja – powiedziała stara kobieta. Wypiła z piersiówki. – Powiedz, chłopcze... Kiedy zabijesz Węża, a on zniknie... Myślisz, że będziesz szczęśliwy na zawsze?
- Tak – powiedział Eliot bez namysłu.
- Hmm... – zamyśliła się stara kobieta.

Szukali pod skałami, w dziurach, ale nigdzie nie było Węża. Musiał popełznąć dalej. I tak wspinali się, szukając śladów.

Znowu zasnęli i obudzili się wśród szarego, chorowitego świtu. Ruszyli w milczeniu i wkrótce weszli we mgłę, gromadząc się wokół ich kolan. Powietrze pachniało metalicznie. Światło dzienne zanikało.

- Co się dzieje? – zapytał Eliot. Staruszka nic nie odpowiedziała. Chłopiec widział coś w błocie, srebrnego i skomplikowanego.

- Co to jest?
- Stara nauka – odparła.
- Co to jest nauka?

Stara kobieta powiedziała:

- Trochę jak magia, ale faktycznie działa.
- Wokół nich pojawiły się szczątki maszyn – srebro, szkło, wielkie wieże geometrii i przemysłu.
- Kto to zbudował? – zastanawiał się Eliot.
- No cóż, Nowi Bogowie, oczywiście.
- Dlaczego je porzucili?
- Ponieważ w końcu wszystkie dzieci nudzą się swoimi zabawkami.

A wokół nich pojawiły się linie i symbole, prastare glify w powietrzu. Światła błyskały w oddali, wzmógł się potężny wiatr, a metaliczny odór gęstniał. Skały nie były już skałami, lecz sześciokątnymi metalowymi płytami, a drzewa były proste, na ich gałęziach żarzyły się kryształy. Na postumencie przed nimi leżały okulary. Stara kobieta je podniosła.

- Tutaj, chłopcze – wysapała. – To są okulary, przez które zobaczysz Węża.

- Okulary? – zdziwił się Eliot. – Mój wzrok jest w porządku. Zawsze dobrze widziałem.
- Tylko ci się tak zdawało – założyła mu je.

Wtedy Eliot został oderwany od ciała i zmysłów. Ujrzał świat bez założonej maski. Płataninę pól i wymiarów. Wysokość czasu, szerokość przestrzeni. I wiedział wtedy, że to wszystko jest zarówno punktem, jak i falą i żartem. I widział logikę u fundamentów wszystkiego, szaleństwo na górze, kształt stawania się i taniec upadku. I wreszcie zobaczył

siebie, w prawdziwej perspektywie: plamkę na plamie, na plamie, na plamie, na plamce, w ziarnku galaktycznego piasku, pośród miliardów innych plaż, a same plaże tworzyły tylko więcej ziaren piasku, i więcej ziaren piasku, i więcej ziaren piasku.

Stara kobieta zdjęła chłopcu okulary.

– Co to było? – wyszeptał przerażony Eliot.

– Och, nauka XXXI wieku. Dawno przed naszym czasem

– dała mu okulary. – Chroń je i zawsze trzymaj przy sobie, dobrze?

– Kim jesteś?

– Och – odpowiedziała. – Kim jest ktokolwiek?

Szukali pod skałami, w dziurach, ale nigdzie nie było Węża. Musiał popęznąć dalej. I tak wspinali się, szukając śladów.

Następnego ranka obudzili się o świcie i mieli piękny widok na wioskę Eliota poniżej.

– Dlaczego świat nie żyje?

Stara kobieta odpowiedziała:

– Wszyscy byli zbyt sprytni, teraz ich nie ma.

– Gdzie oni poszli? – wskazała na niebo. – Tam?

Wzruszyła ramionami.

– Chodź, czas leci.

Kontynuowali wędrówkę w górę, na szczyt, wysoko, powyżej. Eliot znów pomyślał o swoim ojcu. Wyobraził sobie nadchodzące dni, puste i zachmurzone. Nie ma z kim rozmawiać, doprawdy, żadnych gier, nigdy więcej śmiechu. Kiedy znajdzie Węża, rozerwie go na strzępy.

Idąc wciąż pod górę, natknęli się na strumień, którego woda była czerwona i zdali sobie sprawę, że to krew. Krew w strumieniu była gęsta. A na ziemi leżały banknoty, monety, drogocenne klejnoty, laski, diademy i berła. Ziemia była spalona i unosiły się nad nią opary. Powietrze śmierdziało śmiercią, brawurą i pragnieniem. Eliot wypatrzył miecz. Wystawał z ziemi, rękojeść lśniła czerwinią, purpurą i złotem, a ostrze bogatym srebrem. Podeszli bliżej.

– Wyciągnij to z ziemi, chłopcze – nakazała stara kobieta.

– Co to jest?

– To jest miecz, którym zabijesz Węża.

Z wielkim wysiłkiem chłopak wyrwał broń ze skały. Wielkie pióropusze ognia i błyskawic wydobyły się ze szczeliny po mieczu. Kiedy zamachnął się, z miecza wyrzuciły roje szarańczy i os. Eliot ryknął śmiechem, który rozniósł się echem po płaskowyżu. Wszystko było potęgą. Wszyscy będą go teraz słuchać – starsi z wioski, wyrocznie, gnębiciele i bestie. Samo Piekło padnie u jego stóp. Nawet Wąż, kiedy nadejdzie czas. Zaśmiał się ponownie. Góra była wtedy tylko ogniem i błyskawicą, siłą i wściekłością. „Zawsze będę zabijał, wtedy nikt nie zabije mnie” – pomyślał. I wiedział, że nic go nie powstrzyma. Co więcej, z nikczemną pewnością stwierdził, że dzięki temu ostrzu mógłby zakończyć świat, gdyby tylko chciał. To on był teraz bogiem.

Następnego ranka zjadł w ciszy. Stara kobieta piła w ciszy. I chodzili jak zwykle.

– Ile czasu minie, zanim znajdziemy Węża?

Stara kobieta wypiła i nic nie powiedziała.

– Czy to nie powinno być już puste? – zapytał.

Odwróciła flaszkę do góry dnem i wylała strumień niekończącego się nigdy alkoholu.

- Czy jesteś jednym z Nowych Bogów?
- A wyglądam ci na nowego? – zdziwiła się stara kobieta.
- Co się stało z Nowymi Bogami?
- Wąż – powiedziała.
- On ich zabił?
- Może i tak.

Eliot zatrzymał się.

- Do diabła, jak ja mam go pokonać, skoro zabił nawet moich Bogów?

- Ta myśl przyszła mi już do głowy – wymamrotała stara kobieta. – Mimo to okulary i miecz będą ci dobrze służyć. I mamy jeszcze kilka rzeczy do zebrania.

Eliot nie zdążył zapytać jakich, kiedy usłyszał muzykę. Optymistyczne, przyzywające rytmy.

Przybyli na miejsce, gdzie widoczne były pozostałości wielkiej zabawy. Puste butelki, rozrzucone drobiazgi i opróżnione plastikowe woreczki.

- Co tu się stało? – zapytał Eliot.

- Próbowali zapamiętać, porzucić to wszystko – powiedziała stara kobieta. W ruinach starego, pełnego przepychu domu, częściowo spalonego do kości, leżał świecący kufel. A w kuflu było coś, co wyglądało i pachniało jak pitny miód.

- Dalej – powiedziała stara kobieta. – Wypij trochę.

- Co to jest? – zapytał Eliot.

- To jest zapomnienie, za pomocą którego zabijesz Węża.

Pijąc, czuł błogi smak pustego szczęścia przepływający przez gardło. A kiedy płyn zniknęła, stara kobieta złapała

jego rękę i poprowadziła do tańca. Góra zaczęła się wokół nich kręcić, kolory zamazywały się. Eliot i stara kobieta tańczyli ponad rozpustą i pod księżycem. I nagle Eliot nie myślał już o swoim ojcu, Wężu ani wiosce.

- A jeśli nic nie ma sensu?

Stara kobieta śpiewała.

- Kogo to obchodzi?

„Kogo to obchodzi!”, zgodził się Eliot. „Tragedie się zdarzają, ludzie umierają. To wszystko gra, to wszystko fasada! Nie ma zbawienia, nie ma znaczenia!”

Zobaczył teraz w sercu wszystkie rzeczy i wiedział, że nie ma serca. Że wszystko cierpiało, lecz nawet to nie miało znaczenia. Żart, który Bóg opowiadał dla własnej cholernej rozrywki.

Podeszli do urwiska, ich stopy kroczyły w zgodnym rytmie, gwiazdy wirowały w zawrotnym tempie, a góra odbijała echo muzyki lekkomyślnego porzucenia i zapomnienia. Nic się teraz nie liczyło.

- Je...ć ich! – pomyślał Eliot. – Je...ć ich wszystkich!

I tańczyli walc nihilisty długo w noc, aż słońce zaczęło wschodzić.

Eliot obudził się z pulsującą głową i ustami o smaku śmierci. Stara kobieta już wstała i paliła fajkę.

- Wszystko dobrze?

- Mmm... – wymamrotał Eliot. – Czy taniec był naprawdę potrzebny? – Kobieta kiwnęła głową.

- Z pewnością był, potrzebujesz go, żeby zrozumieć. Daj spokój. Jesteśmy teraz bardzo blisko, a Wąż nie może chować się zawsze.

– Nigdzie się nie wybieram, dopóki nie powiesz mi, co się tu dzieje! – I dodał nagle:

– Gdzie są Nowi Bogowie, gdzie jest Wąż i kim jesteś ty?

– Och, chłopcze, kimkolwiek. No chodź. – Ruszyła, ale Eliot się nie poruszył. Zatrzymała się, przewróciła oczami.

– W porządku, w porządku – mruknęła. – Który jest rok?

– 326 – powiedział Eliot.

– Według twojego kalendarza. Według mojego jest XCVIII wiek. Twoi przodkowie zrobili cudowne rzeczy, stali się bardzo potężni i mądrzy. Te przedmioty: okulary, miecz, kufel – to są rzeczy, które zostawili za sobą. Zwłoki i pamiątki.

– Pamiątki czego?

– Pokażę ci.

– Nie! – Eliot krzyknął. – Żadnych gierek!

Stara kobieta warknęła:

– Słuchaj, robisz to wszystko, ponieważ myślisz, że zabiłeś swojego ojca. Zapytał cię, co chcesz na urodziny, a ty odpowiedziałeś: „meteoryt”. Więc wyszedł poza Barierę Śmierci, by ci go znaleźć. I w ten sposób skończył martwy. Więc zrób nam obydwójgu przysługę i nie wyżywaj się na mnie.

Eliot milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho:

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ jestem naprawdę bardzo mądra. I próbuję ci pomóc. Czy zaufasz mi?

Eliot zawahał się, po czym zebrał swoje rzeczy. Szli w milczeniu.

Wieś była prawie niewidoczna poniżej, a szczyt górski coraz bliżej. Weszli do wąskiego parowu, na którego zboczach,

niczym na ścianach galerii, wisały zdjęcia króla. Potem królowej, potem inne portrety, królewskie i dumne. W pozach, które mówiły o dziedzictwie i boskim nadaniu. Ruszyli dalej, portrety zastąpiły sceny, których Eliot nie rozpoznawał: bitwy, koronacje, narodziny i śmierci, dynastie obracające się w popiół. Odcinki z historii jego gatunku, o których nigdy nawet nie słyszał. Miliony umarły i zniknęły. Zmieniły się w pył. Wielki ludzki projekt – zapomniany, jak sen po przebudzeniu. Testament z czasów, gdy miliardy żyły na kruchym marmurze pośród atramentu ciemnego kosmosu, walcząc z wrogim wszechświatem i jeszcze gorszymi zagrożeniami, które czaiły się w nich samych. I jakoś przez długi czas, wbrew wszelkim przeciwnościom i rozsądkowi, wytrzymali, poprawiając się powoli, jak maluch próbujący wspiąć się po schodach. Potem znów wielkość, ambicje i na końcu kurz. Dowód na to, jak szybko będziemy i jesteśmy zapomniani.

Pośród obrazów i wspomnień zauważyli parę zbrojonych butów.

– Tam – powiedziała stara kobieta. – Tak długo, jak je noś, nigdy nie umrzesz. Możesz żyć tysiące lat, jeśli chcesz. To część zbroi, w której będziesz się bronić przed Wężem.

Pasowały idealnie.

– I jeszcze jedno – powiedziała stara kobieta i zawiesiła mu na szyi medalion, w którym było zdjęcie ojca Eliota. – Pamięć – powiedziała. – To historia, w której zabijesz Węża.

W końcu poczuł gotowość do walki. Pierwszy raz, odkąd rozpoczął swoją przygodę w górach. Wiedział, że teraz będzie to już tylko krótki spacer.

Szczyt znajdował się zaledwie kilka metrów przed nimi, wokół szalała zawierucha. Zauważyli Węża na skraju przepaści.

Z okularami Nowych Bogów na twarzy widział Węża w jego esencji. To czarne serce, jego przebiegłość, pogardę dla ostatnich ludzi. Eliot podszedł do niego w milczeniu, z oczami szeroko otwartymi, dłońmi ściskającymi medalion ojca. Myślał o nim. O daremności śmierci. Zamknął oczy, krzyknął i sprowadził miecz na dół z całą siłą, jaką miał. Otworzył oczy. Wąż... zniknął.

Eliot odwrócił się do starej kobiety.

– Gdzie on jest? Widziałas go?

– Nie – powiedziała stara kobieta. – Nie widziałam go, ponieważ on nie istnieje.

Deszcz był coraz silniejszy. Eliot stał w milczeniu w swojej zbroi. Stara kobieta powiedziała:

– Czy naprawdę myślałeś, że na górze jest jakiś zły Wąż, który przynosi śmierć, nieszczęście i cierpienie do wioski? Czy naprawdę myślałeś, że świat jest tak prosty, że tylko jedna istota jest odpowiedzialna za wszystkie złe chwile i cierpienie? O co ci chodzi? Masz wszystko, wiesz o tym? I plujesz na to! To tak jakbyś mieszkał w pięknym domu pełnym miłości i przepychu, ale jednego dnia znajdujesz jedną ukruszoną cegłę, więc palisz cały ten dom. Masz tam wszystko. Dałam ci wszystko. Niekończący się dobrobyt, niekończące się życie – i nadal jesteś nieszczęśliwy! Czy wiesz, jak trudno jest grać bóstwo? Wiesz, jak ciężko jest dać wam szczęście? Oddałabym wszystko, żeby zrezygnować z tej wszechmocy.

– Wasi przodkowie dostali wszystko, czego chcieli – powiedziała stara kobieta. – I nadal nie byli szczęśliwi. Wąż wciąż tam był: nędza, chaos, śmierć i cierpienie.

Próbowali sobie pomóc absolutną wiedzą.

Próbowali go zabić najwyższą mocą i potęgą.

Próbowali o nim zapomnieć.

Próbowali żyć dłużej.

Próbowali być razem.

Okulary, miecz, kufel, zbroja i medalion.

Od zawsze ludzie szukali pod skałami, w dziurach, ale nie było Węża. Musiał popełnić dalej. Szukali dalej, szukali, szukali i nic nie znaleźli. Byli tylko oni sami w nieszczęsnym wszechświecie, wciąż nieszczęśliwi.

– Więc wszyscy Nowi Bogowie zniknęli? – zapytał Eliot.

– Wszyscy oprócz mnie.

– I twój gatunek też zniknął?

– Wszystko prócz twojej wioski, starego sposobu życia. Trzymam cię w pobliżu, ponieważ to miła pamiątka tego, jacy byliśmy kiedyś. Przepraszam, że twojego ojca nie ma. Przepraszam, że już go nie zobaczysz. Ale na dole jest cała wieś ludzi, którzy cię kochają. A ty krzyczysz na cały głos z tej góry! Prawdziwą siłą jest przyjrzenie się otchłani, oczom Węża, a następnie, mimo to, pozostanie dobrym człowiekiem. Nawet w obliczu wielkiej niepewności i złości, i tego dnia, w którym wszystko przemienie na zawsze, i już nigdy o nas nie pomyśla. To się jeszcze nie stało i nie stanie przez długi czas. Zdarzają się złe rzeczy, a ich przyczyny

są skomplikowane – nie ma żadnego węża, więdźmy, złego geniusza. I nigdy nie nadejdzie czas, w którym wszystko trwa wiecznie i nic już nie boli, a my będziemy wiecznie szczęśliwi. Ale czasami są też momenty piękne i przyjemne, czasami spotykamy dobrych ludzi i może dla tych rzadkich momentów i rzadkich ludzi warto jest żyć. Nie marnuj czasu na węże i wiatraki. Pożegnaj się proszę.

Wyjęła słoik po dżemie z torby Eliota i podała mu go. Objęła go ramieniem. Eliot powoli otworzył słoik, a prochy jego ojca poleciały razem z wiatrem. Wytworzony pył przypominał miliony maleńkich meteorytów.

Stara kobieta powiedziała:

– Twój gatunek – kiedyś też mój – musi być jedynym stworzeniem uczulonym na szczęście. Dawno temu rządziście galaktyką i wciąż martwiliście się, kto dostawał lody na deser. Wciąż chcieliście udawać, że nie pochodzicie z błota, wciąż nie mogliście zaakceptować tego braku znaczenia i ukojenia, którego nie można znaleźć w niebie, ale w okopach codziennego życia, i wciąż nie chcieliście zrozumieć, że mimo wszystko to poprzez cierpienie właśnie możecie odnaleźć spokój ducha.

„Będziemy wszystko wiedzieć i wtedy będziemy szczęśliwi”.

„Zabijemy wszystko i wtedy będziemy szczęśliwi”.

„Zapomnimy o wszystkim i wtedy będziemy szczęśliwi”.

„Będziemy żyć wiecznie i wtedy będziemy szczęśliwi”.

„Pokochamy wszystkich i wtedy będziemy szczęśliwi”.

I nawet wtedy nie byliście szczęśliwi. Ponieważ nie tak działa życie. Idź do domu. Nie próbuj być bohaterem,

mędrce ani wojownikiem. Po prostu żyj przez chwilę i bądź przyzwoity. To wystarczający heroizm, decydować się na dobre i jakkolwiek szczęśliwe życie. Tak zawsze było. Jeśli chcesz zachować okulary, miecz, kufel i broję – możesz rządzić światem.

– Nie – odpowiedział.

– Dobry wybór.

Eliot powiedział:

– Czy jestem pierwszym z wioski, który przyszedł zabić Węża?

– Chłopcze – powiedziała stara kobieta. – Wszyscy z wioski przyszli jeden po drugim. Każdego potraktowałam tak samo, wszyscy wrócili. Nawet twój ojciec. Zadał wiele głupich metafizycznych pytań... Widzę to podobieństwo. Jesteś ostatnim, który tu przyszedł, więc idź do domu, bądź człowiekiem. Wszechświat ma cię kompletnie w dupie. Twoja wioska, twoja rodzina, ja – my już nie. Zapamiętaj swojego Ojca. Kochaj go zawsze. I przyjdź tutaj, kiedy tylko zechcesz, a spędzimy ten czas i będziemy go wspominać razem.

Eliot zdjął okulary, broję, kufel i miecz położył na ziemi.

– Czy mogę zatrzymać medalion? – powiedział.

– Oczywiście – powiedziała. – A wspomnienia zawsze będą też twoje.

Zasłona popiołu zniknęła. Niebo było czyste. Ruszył w dół, kierując się do swojej wioski. „To nie będzie trudny spacer” – pomyślał. – „A nawet gdyby jednak był, teraz nie miałbym nic przeciwko temu. Dałoby mi to czas na zapamiętanie i zrozumienie”.



Edward Hooper *New York Interior*

Milena Pomorska

Kornelia

Kornelia usiadła na zielonej, prążkowanej sofie. Przed nią wisiało olbrzymie, złote, ozdobne lustro. Czasem lubiła wyobrazić sobie, iż stanowi ono przejście do innego świata. Głębokie westchnienie. Już jutro. Jutro miała go poślubić. Nie będąc właściwie pewną czy go kocha. Paradoks. Czy cokolwiek czuje. Kolejny paradoks.

Na szafce stoi niewielki zegar, przypominając o nieustannym, nieuniknionym upływie czasu. Nie zawsze będzie tak piękna, zarówno młodość, jak i uroda, przemijają... A przecież nie chce być samotna przez całe życie. Ponowne spojrzenie w lustro. Kornelia poczuła łzy spływające po policzku. W odbiciu widziała swoją śnieżnobiałą twarz okoloną ciemnymi lokami. Na tle jasnej karnacji wyróżniały się jej ogromne, błękitne oczy. Podobno miały barwę nieba w słoneczne dni... A przynajmniej on tak twierdził.

Wciąż pamiętała tamten dzień, gdy się poznali. Ona nie wierzyła w miłość. Zbyt wiele razy się na niej zawiodła. On wręcz przeciwnie, widział ją wszędzie. Cała sytuacja miała miejsce na plaży. Romantycznie, choć stereotypowo, niczym z filmu o nastoletniej miłości. Siedziała tam,

zanurzając końce palców w piasku i zastanawiając się nad wątpliwym sensem życia, szukając go w złocistym bladoróżowym zachodzie słońca, zlewającym się z morskimi falami. To było po utracie pracy. Kolejnej. Pomimo jej szczerych starań wyszło jak zawsze – czyli w ogóle. Zastanawiała się wówczas, czy nadaje się do czegokolwiek. Wtem podszedł jakiś nieznajomy i rozpoczął rozmowę. Jak gdyby nigdy nic zaczął mówić jaki piękny to wieczór. Przystojny blondyn z ciemnymi oczami, z których emanowało dobro i empatia. Spędzili cały wieczór na konwersacji, momentami szokującej. Okazało się, że chociaż nie mają zbyt wiele wspólnego, uzupełniają się. W ten sposób zaczęli się spotykać. Kornelia z ręką na sercu mogła potwierdzić, iż chwile spędzone razem były jednymi z najpiękniejszych w jej życiu i z całą pewnością najbardziej prawdziwych... Czuli się wtedy szczęśliwi, szczerze i głęboko. Ale czy to wystarczy? Wciąż w jej pamięci powracały obrazy ich rozmów, w trakcie których obnażyła przed nim całą siebie, jak przed nikim innym dotąd. Wspólne oglądanie fal rozbijających się o brzeg i leżenie na ziemi ze splecionymi dłońmi, wpatrując się w gwiazdy i nazywając je. Znowu niczym z wierszy bądź filmów... Mimo to dalej nie była pewna.

Dziewczyna nie miała łatwej przeszłości. Nie miała rodziny. Trafiła do adopcji, ale i stamtąd nikt jej nie wziął. W końcu która młoda para chciałaby mieć wycofaną, trudną w objęciu i z początku niekontaktową córkę, zamiast uroczego i wiecznie śmiejącego się aniołka? Tacy właśnie byli ludzie... Przynajmniej w większości. On był, prawdę mówiąc, pierwszą osobą w jej życiu, pierwszą, której

postanowiła zaufać. Jednak w tym momencie naprawdę zastanawiała się, czy słusznie. A może wątpliwości są czymś naturalnym? Być może, gdyby nie doznała ich w pewnym momencie, odczucie pewności nie byłoby możliwe... W końcu będzie dobrze, musi być.

To właśnie powtarzała sobie następnego dnia, wypowiadając to słowo: „Tak”. Nie wiedziała, co przyniesie jej los, jak potoczą się ich wspólne dzieje. Ale tym razem postanowiła posłuchać swojego serca, w końcu kiedyś czas najwyższy. Nie można przecież uciekać w nieskończoność.



David A. Hardy *Portals to Alternate Universes*

Michalina Łata
Demony

Otworzyła oczy. Minęła chwila, nim przyzwyczyły się do ciemności. Leżała na zimnej, obsydianowej posadzce. Przeszedł ją dreszcz. Spękana, czarna skała, niczym rozbite lustro odbijała migoczące słabo gwiazdy i ciemny księżyc. Dziewczyna z trudem podniosła się, rozejrzała. Otaczały ją pogrążone w głębokim cieniu nikle ruiny czegoś, co dawno temu mogło być pałacem. Nie rozumiała gdzie jest ani jak tu się znalazła. Rozmasowała pulsującą bólem głowę. Niczego nie pamiętała. Najwyraźniej musiała mocno się uderzyć. Lecz gdzie podzieli się wszyscy ludzie? Przecież na świecie na pewno byli inni ludzie, prawda? Chyba, że świat się skończył... lub był to po prostu sen. Bardzo realistyczny sen. Na plecach poczuła lodowaty wiatr i zadrżała. Ostrożnie ruszyła do przodu, omijając przeżarte przez czas zrujnowane ściany. Za nimi przed dziewczyną wyłoniły się z mroku ustawione niby w półokrąg dziwne konstrukcje, przypominające bramy. Biło z nich tak mocne światło, że musiała odwrócić wzrok. Miała wrażenie, że ten blask przyciąga ją jak ogień ćmę. Zaciekawiona i zaniepokojona podeszła bliżej. Po kolumnach, okalających te tajemnicze wrota,

pięła się sucha winorośl. W świetlistej tafli pierwszej bramy ujrzała piękny, dziwnie znajomy krajobraz. Nagle usłyszała za sobą szelest. Zaniepokojona odwróciła się, lecz z tyłu nie było nikogo. Gdy jednak zmrużyła oczy, dostrzegła coś... co kryło się w ciemności. Ze strachu zrobiła gwałtowny krok w tył. Miała niemal pewność, że jest obserwowana. Jednak im dłużej wpatrywała się w mrok, tym bardziej nic się w nim nie poruszało...

– Czy... Czy jest tam kto? – zawołała z niepokojem. Żadnej odpowiedzi. Spróbowała ponownie. – Halo? Jeśli tam jesteś, pokaż się! – wciąż uparte milczenie. Co miała dalej zrobić? Z niewiadomych przyczyn znalazła się w nieznanym jej miejscu. Prawdopodobnie doznała poważnego urazu głowy i nie pamiętała, co robiła wcześniej, ani... Jak miała na imię? Nagle usłyszała delikatne szepty i poczuła mrowienie na karku. Mimowolnie przeniosła wzrok na tajemnicze wrota. To co znajdowało się za nimi wydawało się tak jasne i szczęśliwe... Dziewczyna chciała uciec jak najszybciej i jak najdalej z ciemności, w której teraz tkwiła. Bez namysłu przekroczyła pierwszą bramę.

Oblało ją piękne, jasne światło. Przestała drżeć z zimna i poczuła, że ogarnia ją przyjemne ciepło. Otaczała ją kwitnąca polana pełna kolorowych roślin. Na środku rosła potężna wierzba, która zrzucała do ziemi welon jasnych liści. Ruszyła naprzód. Miała dziwne poczucie, że to miejsce jest znajome i na pewno już tu kiedyś była. Szeroki uśmiech wypłynął na jej usta, a gdy stanęła pod baldachimem korony drzewa, doznała uczucia niewyobrażalnego szczęścia. I wtedy usłyszała swój delikatny śmiech. Ale... przecież nawet nie

poruszyła wargami. Zza pnia wybiegła mała dziewczynka. Jej czarne kosmyki były zaplecione w warkocz. Na buzi wypisany miała promienny uśmiech. W głębokich, błękitnych oczach dziecka widziała własne odbicie. Czy to... mogło być prawdą? Nie, musiało jej się tylko zdawać. Nie mogła się przecież przenieść do przeszłości! Parsknęła na samą myśl o tym.

– Cześć! Kim jesteś? – zapytała z ciekawością dziewczynka.

– Witaj. – Zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią. – Wiesz, sęk w tym, że sama nie wiem... Nawet nie rozumiem, jak się tu znalazłam. Chciałabym ci pomóc?

– Jasne! Rozumiem cię. Też nie wiem jak to się stało, że tutaj jestem – zachichotała. – Bawiłam się w chowanego z moją przyjaciółką, Amarą, i jakoś... samo tak wyszło! Tutaj nigdy mnie nie znajdzie, hi hi! – zaśmiała się ponownie i zniknęła za drzewem.

Dziewczyna uśmiechnęła się czule, myśląc o podobnych zabawach z dzieciństwa. Własnego dzieciństwa. Nareszcie sobie coś przypomniała! Polana pełna kwiatów. Wierzba. Sama kiedyś ukrywała się dokładnie w takim miejscu. Nawet na korze widniało wyżłobienie w kształcie półksiężyca, dokładnie takie, jakie pamiętała z przeszłości. Z zamyślenia wyrwało ją przeraźliwe wycie. Jakby polowało na nią wilcze widmo. Zadrżała. Znowu poczuła przeszywające zimno. Wyrzała zza gałęzi drzewa. Skąd pojawiła się tu mgła? Wcześniej na pewno jej nie było! Teraz miała już pewność, że coś kryło się w tych mętnych oparach. Usłyszała niepokojące szepty i zobaczyła, że przebiega przed nią jakiś czarny złowrogi kształt. Serce zabiło jej mocniej. Dziewczynka!

Odwróciła się na pięcie i pognęła tam, gdzie schowało się dziecko.

– Musimy uciekać! – wydyszała.

– Dlaczego? Ja się nigdzie nie ruszam! To idealna kryjówek – dziewczynka założyła ręce na piersi. – Czy chcesz, żebym przegrała? – Wygięła usta w podkówkę.

– Nie! Nie słyszałaś?

– Czego? Słyszysz teraz tylko twoje krzyki. A jeśli nie będziesz cicho, to Amara mnie znajdzie! – Tupnęła nogą. Trudno będzie przekonać dziecko, że to dla jego dobra. Ale musi ją uratować!

– Chciałabyś zagrać w fajną grę? – zaproponowała. Musiała coś wymyślić, a było to jedyne, na co wpadła.

– Ooo... – Zainteresowała się dziewczynka. – To inna zabawa niż w chowanego? Cały czas bawimy się z Amarą tylko w chowanego. – Już była podekscytowana myślą o poznaniu nowej zabawy.

– Tak. Polega na tym, że ja cię gonię, a ty musisz uciekać, jakbym była strasznym potworem!

Dziewczynka wpatrywała się w nią i wciąż stała nieruchomo w tym samym miejscu. A przecież musiały uciekać!

– Raaaa! Straszny potwór atakuje! – Dziecko wybuchło głośnym śmiechem i pognęło naprzód. W tej samej chwili z mgły z gardłowym rykiem wyskoczył prawdziwy potwór.

Dziewczyna zaczęła biec ile sił w nogach i w tej samej chwili straciła dziecko z oczu. Serce jej łomotało. Wbiegła między drzewa. Czowała, że bestia zaraz ją dogoni! A potem jedno po drugim: usłyszała płacz, lzy pociekły jej po policzkach i dojrzała małą, rozciągniętą jak długą na ziemi.

– Dlaczego nie uciekasz?! Biegnij!!! – wrzasnęła. Z przerażeniem ujrzała szponiastą łapę bestii wzniesioną nad dzieckiem.

– Auaaa!... Potknęłam się i zdarłam kolanko! – płakała mała.

– Ona nie widzi tej bestii – uświadomiła sobie z przerażeniem. – Uciekaj! – Mała przechyliła pytająco głowę i leciutko się uśmiechnęła, jakby usłyszała nieprawdopodobną bajeczkę.

Dziewczyna poczuła, że szczęki chłodu zaciskają się na jej kostce, a ostatnie, co zobaczyła, to przerażający cień rzucający się na małą dziewczynkę, która niczego się nie spodziewała.

– Neeee! – krzyknęła, desperacko wyciągając rękę w stronę dziewczynki. Łzy potoczyły się z jej oczu. Ogarnęła ją ciemność.

Otworzyła oczy. Minęła chwila, nim przyzwyczyły się do ciemności. Leżała na zimnej, obsydianowej posadzce. Przeszedł ją dreszcz. Spękana, czarna skała, niczym rozbite lustro odbijała migoczące słabo gwiazdy i ciemny księżyc. Dziewczyna z trudem podniosła się, rozejrzała. Znowu znajdowała się w tym samym obskurnym miejscu. Dlaczego? Niczego nie rozumiała. Przed chwilą przeniosła się do miejsca z własnego dzieciństwa i nie zdołała obronić siebie przed bestią. Czowała się jakby pusta w środku. Co właściwie się działo? Wszystkie jej mięśnie spięły się, gdy usłyszała za sobą przerażający syk, niczym wydany przez kobrę podkradającą się do ofiary. Objęła głowę rękami.

Musiała się jak najszybciej wydostać z tego nawiedzonego miejsca. Gdy wstała, dostrzegła czające się w ciemności istoty. Ich oczy gorzały niczym węgle w dogasającym ognisku. Zbliżały się. Dziewczyna zerwała się do biegu. Minęła ruiny i dopadła do magicznych bram. Bestie podążyły za nią, a szepty w jej głowie podpowiadały aby przekroczyć drugie wrota. Zauważyła, że brama, przez którą przeszła za pierwszym razem, zgasła. Teraz ziała tam pustka, a kamienne kolumny popękały. Jęzory mgły słały się już u stóp bram, a mroczne bestie okrążały dziewczynę. Nie chciała kolejny raz przechodzić przez wrota. Znów mogło się wydarzyć coś okropnego. Jednak bestie szykowały się do ataku. Nie miała innego wyjścia. Zniknęła po drugiej stronie.

Znalazła się w pięknym, świetlistym pałacu. Poczuła się bezpiecznie. Otaczały ją piękne, delikatnie zdobione ściany. Sufit sklepiał się wysoko ponad głową, a zdobienia na nim przypominały złote słońca. Od strony wschodniej widniało ogromne okno przez które do środka wpadał czarowny blask. Przestronną salę wypełniali ludzie, elfy, czarodzieje... Wśród nich zobaczyła dziewczynę. Nie była pewna skąd, ale wydało jej się, że ją zna.

– Amara! – bez zastanowienia zawołała. Sama zdziwiła się, że wypowiedziała właśnie to imię. Było to niedorzeczne... tak przecież nazywała się przyjaciółka tamtej małej dziewczynki.

– Kira! Tutaj jesteś! Nawet nie wiesz jak długo cię szukałam – usłyszała odpowiedź, gdy złotowłosa do niej podbiegała. Kira? Dziewczyna odwróciła się by zobaczyć, czy ktoś za nią nie stoi.

– Do mnie mówisz? – zapytała się jej niepewnie.

– A do kogo innego? – Amara parsknęła śmiechem. – Chodź! Chcę ci coś pokazać! – Złapała Kirę za rękę i poprowadziła ją szybkim krokiem na schody. Gdy wspięły się na najwyższe piętro, wyszły na szeroki balkon, z którego otwierał się widok na bezkresne wzgórza. Krajobraz uderzył dziewczynę swym pięknem, a lekka bryza połaskotała ją w twarz.

– Ślicznie tu, prawda? – Amara oparła ramiona na rzeźbionej, marmurowej balustradzie i powiedziała rozmarzonym głosem: – A teraz popatrz tam! – Jej dłoń wystrzeliła w powietrze, wskazując w stronę skalistych gór. Gdy Kira spojrzała w tę stronę, zrozumiała, co wywołało szeroki uśmiech na ustach złotowłosej. Smoki. Majestatyczne stworzenia wyłoniły się zza szczytu najwyższej góry. Szybowały na wietrze, wolne jak ptaki. Widok zapierał dech. Smoki były rzadkością. Dziewczyna zamknęła oczy i odetchnęła głęboko w ciepłe słońca. Lecz nagle poczuła przejmujący chłód.

– Czujesz to? – Przeszedł ją znajomy dreszcz. Ciemne chmury spowiły słońce, a dokoła nich pojawiła się mgła. Znów ją znalazły...

– Amara, musimy uciekać! – Nie otrzymała odpowiedzi. Bestie wyłaniały się z mgły. Intensywny kolor ich oczu odznaczał się na tle ich ciemnych sylwetek.

– Amara? – zawołała jeszcze raz, desperacko. Złotowłosa nienaturalnie wolno obróciła głowę w stronę Kiry. Dziewczynie zaparło dech w piersi. Serce zaczęło jej walić niczym kowalski młot. Otoczyły je cienie. Oczy jej towarzyszki

pląnęły czerwienią furii. Wyszczrzyła ostre jak brzytwa kły... i rzuciła się na Kirę z demonicznym rykiem wraz z innymi – niczym bestia.

Ogarnęła ją ciemność.

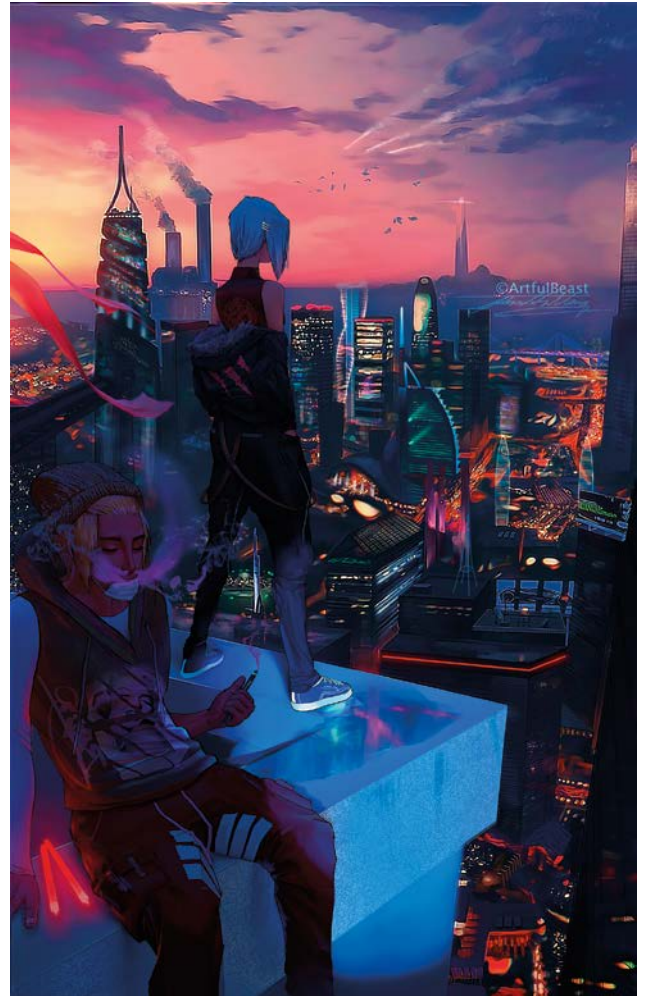
Otworzyła oczy. Minęła chwila, nim przyzwyczyły się do ciemności. Leżała na zimnej, obsydianowej posadzce. Przeszedł ją dreszcz. Spękana, czarna skała, niczym rozbite lustro odbijała migoczące słabo gwiazdy i ciemny księżyc. Dziewczyna z trudem podniosła się, rozejrzała. Dlaczego znów znajdowała się w tym samym obskurnym miejscu?! Nie miała już siły. Nieważne gdzie była, bestie i tak ją odnajdywały. I sprawiały, że ginęło to, co pragnęła chronić... Nie chciała więcej tracić. Obiecała sobie, że nie przejdzie więcej przez żadną bramę. Nie chciała skazywać innych na cierpienie. Będzie tu tkwiła i znosiła tortury, jeśli będzie musiała.

– Bestie! Pokażcie się! Nie będę już więcej uciekać! – wykrzyczała w ciemność, a po policzkach spłynęły jej łzy. Na żądanie dziewczyny mgła opadła, odkrywając nieprzeliczone zastępy potworów. Jedne posiadały długie szpony, inne ostre kły. Jeszcze inne straszyły powyginanymi rogami lub wiły się w splotach jak węże. Dziewczyna tylko patrzyła. Oto tak liczne stado demonów cały czas na nią polowało.

– Zostawcie mnie wreszcie w spokoju! – wrzasnęła, cisnąc kamieniem w najbliższą bestię. Tylko ją tym rozjuszyła. Bestia skoczyła na dziewczynę, tnąc pazurami. Kira poczuła lodowaty ból. Spróbowała odepchnąć bestię, lecz nie miała wystarczająco siły. Reszta zastępów rzuciła się na

nią. Upadła pod ich ciężarem. Ujrzała jeszcze tylko krwisto-czerwony żar oczu demonów.

Ogarnęła ją ciemność...



Paul Nong *Dusk in the City*

Lena Ignatiuk
Moja najlepsza przyjaciółka

Znowu słyszę dźwięk telefonu. To pewnie moja najlepsza przyjaciółka chce mi powtórzyć, żebym dzwoniła do niej, kiedy będę miała ochotę. Cieszę się, że daje mi wybór, bo ostatnio niezbyt dobrze nam się układa. A więc mam dwie opcje: zadzwonić albo nie zadzwonić. Proste. Szkoda tylko, że ona jest w stanie zaakceptować wyłącznie jedną z tych opcji. Mogłabym jej to wprost powiedzieć, ale nie mogę teraz rozmawiać. Odrzucam połączenie i spokojnie podchodzę do krawędzi dachu trzydziestopiętrowego wieżowca. Siadam na brzegu, dokładnie w tym samym miejscu co zwykle i obserwuję miasto o zachodzie słońca. Wydawałoby się, że znam je już na pamięć, jednak za każdym razem udaje mi się dostrzec coś nowego. Uwielbiam patrzeć na te wszystkie różnokolorowe neony. Nie wiem, czy mogę powiedzieć, że mnie uspokajają, ale nie przychodzi tu po to, żeby o niczym nie myśleć. Właściwie to wręcz przeciwnie. One po prostu wprawiają mnie w taki... refleksyjny nastrój.

Dzisiaj przez cały dzień padało. Nie lubię deszczu, ale teraz, kiedy już ustał, miasto wydaje mi się jeszcze piękniejsze niż zazwyczaj – dzięki niemu ulice są takie czyste

i lśniące. Widzę autostradę, a raczej smugi światła, które pozostawiają za sobą śpieszący się kierowcy. W oddali stoi wysoki, potężny biurowiec. Ludzie, którzy pracują na najwyższych piętrach, mają pewnie za oknem taki sam widok jak ja teraz. Fajnie im, że nie muszą kombinować jak by tu niezauważenie dostać się na dach wieżowca. Z jakiegoś powodu mam jednak wrażenie, że taki pracownik w ogóle nie patrzy za okno, no chyba że po to, by przypomnieć sobie, gdzie dokładnie rano zostawił samochód na parkingu. Swoją drogą: jest już dość późno, a w biurowcu nadal jest sporo światła w oknach. Długo muszą pracować ci ludzie. Nie chciałabym tak. No chyba że lubią to, co robią, ale jakieś wewnętrzne przecucie każe mi w to wątpić. W dodatku musi ich trochę rozpraszać koncert, który odbywa się dzisiaj na niedaleko położonej scenie. Chciałam na niego iść, ale rodzice za bardzo się martwili, żeby pozwolić mi pójść samej, a z drugiej strony nie mieli czasu, żeby mi towarzyszyć. Z tej odległości nie słyszę zbyt wiele. Mimo to jestem w stanie rozpoznać piosenkę po dźwiękach, które dolatują do mnie z oddali. Znam na pamięć nie tylko cały tekst oraz linię melodyczną wokalu, ale także każde uderzenie w perkusję czy klawisz keyboardu albo szarpnięcie struny gitary. Co prawda nie gram na żadnym instrumencie, ale przynajmniej wokal byłabym w stanie odtworzyć. To wcale nie jest mój ulubiony utwór, ja po prostu często słucham muzyki. Bardzo często. Słuchanie muzyki to czynność na którą zawsze potrafię znaleźć czas, niezależnie od tego, jak dużo prac domowych mam do odrobienia. Na przeciwko sceny jest park z podświetlaną fontanną. Nawet

ładny ten park, ale ja raczej tam nie przychodzę, bo jest w samym centrum miasta, więc zazwyczaj jest dość zatłoczony. Cieszę się, że moje miasto ma dzięki niemu jakieś połączenie z naturą. Moja mama zawsze powtarza mi, że więź z naturą jest nam potrzebna do prawidłowego funkcjonowania. Park wypada trochę kontrastowo w porównaniu z wielką fabryką na horyzoncie. Z jej kominów wypływa gęsty dym. Mam nadzieję, że zamontowali w nich jakieś filtry, bo...

– Wszystko w porządku?

Rany, prawie zawału dostałam! Więc ktoś mnie zauważył. I właśnie za mną stoi. Super. Założę się, że nie obejdzie się bez telefonu do rodziców. Odwracam się, gotowa na najgorsze i... widzę chłopaka mniej więcej w moim wieku. Spodziewałam się raczej jakiegoś wścibskiego dorosłego, którego tak naprawdę nie obchodzi to, jak się czuję, tylko to, że nie powinno mnie tu być. Może jeszcze nie wszystko stracone. A no tak. Chyba wypadaloby coś odpowiedzieć.

– Tak. A dlaczego miałoby nie być? – odpowiadam więc, z zaskoczenia zupełnie zapominając o tym, że przesiadywanie na dachu trzydziestopiętrowego wieżowca raczej nie jest normalnym zajęciem.

– No nie wiem... To znaczy, po prostu myślałam, że...

– Spokojnie, nie zamierzałam zrobić niczego głupiego – decyduję się przerwać mu w pół zdania, w porę przypominając sobie, gdzie się znajduję.

– Aha, to... Co tak właściwie tutaj robisz? – widać, że chłopak jest kompletnie zaskoczony, jakby właśnie patrzył nie na nastolatkę, a na jakąś niezidentyfikowaną istotę.

– Myślę. Potrzebuję do tego spokoju, dlatego tu przychodzę.

– Wśród innych ludzi nie słyszysz swoich myśli? – Zainteresował się. Czyżby próbował mnie zrozumieć?

– Nie o to chodzi. Po prostu... Kiedy jestem z innymi, nie mam czasu na przemyślenia, bo muszę się skupić na teraźniejszości.

– Dlaczego po prostu nie zamkniesz się w swoim pokoju?

– Z mojego okna nie ma takiego widoku – uśmiecham się. – Chcesz popatrzeć? – odsuwam się trochę od krawędzi i daję swojemu rozmówcy znak, żeby usiadł obok. – Widać stąd praktycznie całe miasto. Biurowce, autostradę, scenę, park, nawet tę gigantyczną fabrykę na obrzeżach. O tam, widzisz?

– Faktycznie. Po twoim entuzjazmie widzę też, że mogłaś byś ciągnąć swoją wypowiedź godzinami. Lubisz to miasto?

Dobre pytanie. Dalsze rozmyślenia nad odpowiedzią przerywa mi jednak dźwięk mojego telefonu. Znowu.

– Czyżby twoi rodzice się o ciebie martwili?

– Nie, to... Moja najlepsza przyjaciółka – odpowiadam, odrzucając połączenie.

– W takim razie dlaczego nie odbierzesz?

– Boo... teraz rozmawiam z tobą.

– Mnie to nie przeszkadza – chłopak śmieje się z mojego zakłopotania.

– No dobra... po prostu nie mam ochoty z nią teraz rozmawiać. Nie czuję takiej potrzeby.

– Pokłóciłyście się?

– Nie, wszystko jest w porządku. Dlaczego w ogóle o to pytasz? To nie twoja sprawa.

Ten chłopak powoli zaczyna mnie denerwować. O co mu chodzi, że się tak dopytuje? Przecież dopiero się poznaliśmy.

– Masz rację, nie moja. Wydawało mi się tylko, że normalnie nikt nie reaguje takim stresem na telefon od najlepszej przyjaciółki.

Skąd...? To prawda, zaczynam się denerwować, kiedy widzę jej imię na wyświetlaczu, ale...

– Nie wiedziałam, że to aż tak widać.

– Uwierz mi, widać. A skoro ja jestem w stanie to zauważyć, to ona na pewno też to widzi.

– Przyjaźnimy się już od bardzo długiego czasu, ale ostatnio niezbyt dobrze nam się układa. To znaczy, na pewno będzie dobrze. Taki drobny kryzys.

– Skoro tak, to może najprościej byłoby odebrać telefon i to wyjaśnić.

– Już próbowałam, ale mam wrażenie, że nie rozumiemy się nawzajem. Może mamy różne oczekiwania względem siebie. Za każdym razem kończy się tym, że ona stawia mi ultimatum: jak chcesz, to możemy kontynuować naszą przyjaźń albo zerwać kontakt. I zawsze powtarza, że bym była ze sobą szczerą. Ale to przecież nie jest taka prosta decyzja... Mam wrażenie, że nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

– Nie rozumiecie się... Wydaje mi się, że ten „drobny kryzys” nie rozwiąże się sam. A gdybyś była ze sobą szczerą? Co tak naprawdę czujesz, kiedy myślisz o swojej przyjaciółce? Oszukiwanie jej nie ma sensu, zresztą pewnie o tym wiesz.

No tak, wiem... nie mam pojęcia, jakim cudem to możliwe, ale w jakiś sposób zupełnie nieznanomy chłopak

rozumie mnie całkiem nieźle. Może nawet bardziej, niż ja rozumiem samą siebie.

– Nie wiem, co czuję – wnioskuję po dłuższej chwili ciszy – ale masz rację, muszę powiedzieć jej prawdę.

– Uważam, że następnym razem, kiedy przyjdiesz tu pomyśleć, warto byłoby się nad tym zastanowić. A tak w ogóle, słońce już zaszło. Muszę iść. Oczywiście nie powiem nikomu, że cię tu widziałem. Do zobaczenia!

– Dziękuję. Za dyskrecję, za rady i ogólnie za rozmowę.

– Nie ma za co. Mi też czasami wydaje się, że chcę być sam, a tak naprawdę właśnie wtedy najbardziej potrzebuję, żeby ktoś ze mną porozmawiał.

– Do zobaczenia.

Odwracam się, żeby zobaczyć, jak chłopak zamyka za sobą drzwi wejściowe na dach i ponownie zostawia mnie samą z moimi myślami. Co sądzę o mojej najlepszej przyjaciółce? Nie chcę zostawiać jej samej. Z drugiej strony, jaki w ogóle jest sens nazywania jej moją najlepszą przyjaciółką, skoro prawie nigdy nie mam ochoty z nią rozmawiać?

Kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt minut później znowu słyszę dźwięk mojego telefonu. Bez zastanowienia odbieram połączenie.

– Doceniam to, że teraz starasz się, żeby wszystko między nami było jak najlepiej, ale po tych wszystkich negatywnych rzeczach, które wydarzyły się w naszej relacji, prawda jest taka, że nic już do ciebie nie czuję.



Janusz Lewandowski *Cudownie ocaleni*

Judyta Idzikowska
Autos-phobos

Wiatr musnął lekko zasłony w górnym oknie szarego posterunku na ulicy Kwiatowej. Kamiński usiadł na swoim miękkim, niebieskim fotelu. Prychnął na widok ekranu logowania na małym ekranie swojego laptopa, po czym poprawił krzaczaste wąsy. Otworzył plik o nazwie „akta 435 – dziennik – Nowak”.

– Miejmy to już za sobą – szepnął do siebie, tak jakby te słowa miały go jakoś zmotywować. Nic nie czekało na niego w domu. Nie miał żony, męża ani dzieci. Tylko puste butelki po piwie na samej górze lodówki, której tak bardzo nie chce mu się posprzątać.

29.02

Myszę, że nikt o mnie niczego nie napisze, więc równie dobrze mogę pisać o sobie. Pracuję w korpo, na obiad jem pierogi z żabki za siedem złotych, bo to jedyne, na co mnie stać. Szkoda, że wszystko zaczyna się pieprzyć. Pogodynka w czerwonej sukience z uśmiechem zapowiada ciągłe burze przez następny tydzień, w wiadomościach same słupki, kolorowe wykresy. W sumie, oglądając je po raz dwudziesty

dziewiąty w tym miesiącu, tracą już swoje kolory. Wszystko zaczęło tracić kolory. Czy wszystko stało się rutyną, straciło wartość? Moje życie to tylko dom – praca – dom, czasem dzięki litości koleżanki z pracy wypadnie jakaś impreza.

Wracając do tego całego bałaganu: zacząłem zapominać o pewnych zdarzeniach. Na początku były to małe fragmenty mojego dnia. Kwadrans z powrotu do domu, pół godziny przy obiedzie. Tak jakbym zupełnie opuścił ziemię na ten czas. Pamiętam: wracam busem do domu, jakiś słaby remix leci w słuchawkach, nagle budzę się na ostatnim przystanku godzinę później. W sensie... nie budzę, ale... wracam? Tak jakbym wygrał jakąś wewnętrzną walkę. Takich momentów jest coraz więcej. Nie stanowią one jeszcze głównej części mojego dnia, więc myślę, że nie muszę się nimi martwić. Są ważniejsze sprawy, na przykład raport z tego półrocza, który muszę oddać szefowi za cztery dni.

2.03

To uczucie, uczucie wewnętrznej rozterki – boże, zacznę mówić jak jakiś tragiczny poeta. Może lekcje polskiego jednak na coś się przydały. Wracając do tematu – uczucie kompletnego odcięcia się od rzeczywistości, nieobecności, braku kontroli, jest coraz częstsze. Dziury w pamięci coraz większe. Za każdym razem gdy to czuję, myślę, że mdleję. Może mała drzemka w pracy? Dlaczego budzę się na nogach? Mam wiele pytań. Może to jakaś choroba psychiczna? Trauma?

3.03

Moje zachowanie jest dla mnie coraz bardziej niepokojące. MOJE WŁASNE zachowanie. Potrafię „wylączyć się” w połowie rozmowy, podczas robienia kawy, stania w kolejce do samoobsługowej. Teraz zaczynam zauważać reakcje ludzi dookoła mnie. Patrzą na mnie z przerażeniem, jakbym właśnie zabił im całą rodzinę lub zabrał z lodówki ostatnie opakowanie ich ulubionego jogurtu. Nie mogę spać. Tak jakby mój organizm i mózg były od siebie kompletnie odłączone.

5.03

Od zawsze ludzkość stawiała sobie pytanie, jak właściwie powstał świat. Nigdy jakoś nie wierzyłam w żadne bożki, bóstwa, zbawicieli. W końcu doszliśmy do wniosku, że wszystko było wynikiem jakiegoś ogromnego przypadkowego wybuchu, a nie wytworem jakiegoś bytu astralnego. Ba! Może nawet nowej warstwy skorupy jakiegoś kosmicznego zółwia. Czytając jakieś starożytne pergaminki, można dowiedzieć się o bogach starożytnej Grecji. No wszystko fajnie, super, bóg na każdą okazję, z ciekawym back story. Zawsze podchodziłam do tego z dystansem, bardziej jako ciekawostki, fantastyki niż FAKTU.

7.03

NIE BYŁO MNIE. NIE BYŁO MNIE PRZEZ CZTERY DNI. Obudziłem się na ławce w parku o czwartej nad ranem z ńędzną podróbką coca-coli w ręce. Nienawidzę gazowanych rzeczy. CO JA ROBIŁEM W PARKU? Może

ktoś dosypał mi czegoś do kawy, ale cztery dni? Czemu nie pamiętam nic z przeciągu czterech dni? Czuję na sobie ten odrażający wzrok ludzi. Jakby myśleli, że zachowuję się inaczej. Bardzo chciałbym móc odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie sobie stawiam. Chyba powinienem odwiedzić psycholo-

8.03

Dwanaście godzin, dwanaście godzin... TAK! Tyle mnie nie było. To lepiej niż cztery dni, jest lepiej. Powinienem iść do kościoła, dawno mnie tam nie było. Kiedy nie mam już pomysłu co ze sobą zrobić, czemu by nie zapytać Boga?

9.03

Tęskniłam za Ziemią. Za tym podmuchem wiatru, ciepłem słońca i za tą fałszywą nadzieją, że „to coś” po śmierci jest „akceptowalne”. Nadal pamiętam ten widok, ludzie wchodzący po schodach. Czulałam to wypełniające ich szczęście, gdy dowiedzieli się, że po śmierci czeka ich coś pozytywnego. Patrzyłam na to wszystko, tonąc. Zawiedziona tym, że w oczach „Wielkiego Pana” byłam nikim. Tylko negatywnym wspomnieniem, złym zakończeniem sądu ostatecznego. Dlaczego nikt mi nie pomógł? Przecież to oni byli „ci dobrzy”, życzliwi.

13.03

Nie pamiętam pisania poprzedniego wpisu. Dlaczego? Nieważne. Wydaje mi się, że jest coraz lepiej albo przynajmniej udaję, że jest lepiej. Ludzie chyba już się przyzwyczaili

do mojej „dwubiegunówki”. Tak to teraz nazywają. Bardzo zabawne. Jednak staram się zrozumieć wszystko bardziej. W sensie... Jak? Gdy już zrobię jakiś postęp, to od razu znowu przenoszę się do tego miejsca – NO WŁAŚNIE. Tego miejsca. Całej mojej dehumanizacji nie towarzyszy już tylko pustka. Może to tylko moja wizja, ale zacząłem rozmawiać ze sobą.

Wewnętrzna wersja siebie.

20.04

Nudzi mnie mój widok w lustrze. Tęsknię za swoim ciałem. No cóż, trzeba jakoś przetrwać na powierzchni. Żywiciela w tym przypadku się nie wybiera, zagubiona dusza jest jak pasożyt. Szkoda mi go czasem gdy przegrywa walkę i JA przejmuję kontrolę. Ale czego się nie robi dla powrotu na ziemię?

5.05

NIE MOGĘ
JUŻ NIE MOGĘ
JUŻ NIE MOGĘ
JUŻ NIE MOGĘ
NIE WYTRZYMAAM
NIE WYTRZYMAAM.
POZBĄDŹCIE SIĘ JEJ
JUŻ NIE MOGĘ
JUŻ NIE MOGĘ
JU

Twarz oficera lekko pobladła. Codziennie zмага się z różnymi sprawami, ale czasami dalej dostaje gęsiej skórki. W pokoju słyszał tylko dźwięki obracającego się wiatraka. Mężczyzna chrząknął, po czym wydrukował dokumenty i podszedł do ogromnej szafki. Każda z półek miała oddzielną, starannie przyklejoną etykietę. Na każdej z nich znajdowały się po dwa ogromne kartonowe pudła, lekko zdarte na rogach. Jego wzrok zatrzymał się na jednym z nich. „Sprawy zawieszono” mówiła etykieta pudła. Teczki już prawie z niego wypływały.

Oficer spojrział na folder, który trzymał w ręce, na zdjęcia znajdujące się w nim. Zdjęcia mieszkania, biura, rodziny oraz chłopaka z głową rozwaloną o lustro w swojej małej łazience.

– Mam już dosyć tego wszystkiego – prychnął mężczyzna i wrzucił folder do pudła.



Oskar Kokoschka *Bride of the Wind*

Kaja Dacka
Beatitudine

Dzisiaj mijają dokładnie dwa lata od mojego pierwszego spotkania z Tomkiem. Poznaliśmy się na imprezie, gdy chciał pokazać obiektovi swoich westchnień, że jest silny i odporny na wszelkie działania przeróżnych substancji. Gdy Tomkowi nie wystarczał alkohol, do akcji wkroczyłem ja. Płynna, zielonkawa substancja zamknięta w nigdy nieodkazanej strzykawce. Byłem bardzo zdenerwowany, ponieważ nigdy nie ingerowałem w tak młody organizm. Nie mogłem się zdecydować, w jaki stan go wprowadzę. Dodanie odwagi było zbyt oczywiste i w jego przypadku niepotrzebne. Wywołanie niespowodowanej niczym agresji wydało mi się zbyt prymitywne, a wyolbrzymienie jego lęków zbyt okrutne. Postanowiłem więc zabrać Tomka do innego świata.

Gdy zobaczyłem jego zbliżającą się rękę z uwydatnioną, pulsującą żyłą, miałem już gotowy i dokładnie przemyślany plan. W momencie, w którym trafiłem już do krwioobiegu, przypomniałem sobie, jak przyjemne jest patrzeć na wszystkie synapsy, które zaczynają pracować i generować impulsy nerwowe. Obwodowy układ nerwowy zarzuca

wtedy mózg fałszywymi i irracjonalnymi informacjami. Neurony w mózgu zostają pobudzone i zachowują się jak piętnastolatek po pierwszej wypitej w życiu kawie. Mózg wydaje rozkazy, które są często bezsensowne, a człowiek staje się bezradny i bezbronny. Tak też było z Tomkiem. Podporządkował się całkowicie mojej woli. Przyznam, że bardzo ułatwił mi zadanie. (Zazwyczaj trafiam na opornych zawodników, którzy za wszelką cenę chcą zmienić skutki mojego działania).

Zabrałem Tomka do miejsca rodem z ekspresjonistycznych obrazów Rafała Malczewskiego i Oskara Kokoschki. Było tam ciemno i zimno. Wszystko emanowało pesymizmem i melancholią. Widok malujący się przed jego oczami był niewyraźny i lekko rozmazany, jakby namalowany łamaną, grubą kreską. Przestrzeń wypełniały zdeformowane, groteskowe i karykaturalne postaci. Każda z nich zaczynała spontanicznie opowiadać o swoich przeżyciach, lękach i pragnieniach. Tomek nie zwracał jednak na to uwagi. Wpatrywał się w chowającą się w kącie, wtuloną w siebie parę. Intrygowało go, że ci ludzie niczym się nie przejmują i nie pragną jego uwagi. Widział, że łączy ich niezwykła relacja, o której ich karykaturalne towarzystwo mogło tylko marzyć. Nagle Tomka zalała fala smutku i nieprzyjemnych wspomnień związanych z bliskością. Nie mógł dłużej patrzeć na kochanków. Czuł się przytłoczony niedbałą fakturą i otaczającą go rozpaczą. To właśnie wtedy zdarzyło się coś, na co kompletnie nie byłem przygotowany. Tomek zakrzywił w jakiś sposób czasoprzestrzeń i zabrał nas do nieznanego mi miejsca. Nigdy wcześniej nie było tak, że to człowiek

zawładnął narkotykiem, a nie narkotyk człowiekiem. To ja zawsze dyktuję warunki i etapy podróży. Byłem zdumiony i nie rozumiałem, co się właściwie stało. Wszędzie było pełno kwiatów i zieleni. Wokół mnie latały wielkie ważki, pszczoły i chrabąszcze. Czułem ciepły wiatr muskający delikatnie moją twarz. Dokładnie słyszałem śmiech nieopodal bawiącego się dziecka i głos zmartwionej mamy. Napawałem się pięknem i barwami kwiatów. Nie wiedziałem, że coś może być tak przyjemne i bez troskie. Położyłem się na trawie i wpatrywałem się w biegnące po niebie chmury. Wówczas zrozumiałem, że stałem się człowiekiem, a moim organizmem kierował Tomek. Byłem jednocześnie przerażony i zachwycony. Zawsze chciałem zobaczyć, jak to jest coś odczuwać. Zabierałem moje „ofiary” w różne miejsca, aby badać ich zachowania i reakcje zachodzące w organizmie. Pytałem ich, czym jest dla nich radość i co powoduje, że się smucą. Teraz miałem okazję dojść do własnych wniosków.

Nie chcę jednak ich wam zdradzać. Uważam bowiem, że emocje to bardzo osobista sprawa. Tomek zabrał mnie do paru innych miejsc, abym mógł poznać podstawowe emocje. Jestem mu za to bardzo wdzięczny. Chętnie zostałbym na jego miejscu. Niestety, wszystko co piękne, kiedyś się kończy. Musieliśmy wrócić do rzeczywistości. Tomek znowu stał się człowiekiem, a ja płynną, zielonkawą substancją zamkniętą w nigdy nieodkazanej strzykawce.



NASA Top of Atmosphere

Karolina Bronisz

Pętla

Zgrabnie niczym łania przeskoczyła z jednej konstelacji na drugą. Oddalone od niej o setki miliardów lat świetlnych gwiazdy radośnie do niej mrugały. W ciszy przeszła przez mgławicę, podziwiając jej piękno. Była tutaj od paru minut czy może lat? Nie była pewna. W końcu tutaj czas nie istniał, a znaczenie nie miało znaczenia. Kontynuowała swoją wędrówkę. Po pewnym czasie spoczęła na Ziemi Piasku Róż i z tęsknotą spojrzała na swój dawny Dom. Ból i smutek wyraźnie malowały się w jej oczach. Westchnęła. Kiedyś uważała się za opiekunkę Domu. Jednak zawiodła. Czy naprawdę wobec Nich była taka bezsilna?!

Nieśmiałe promienie porannego słońca przebijały się przez gęste korony drzew, barwiąc wszystko w odcieniach nadziei. Ptaki śpiewały sobie tylko znane melodie, a w oddali cicho szeptał strumień. Spokój, który można odnaleźć tylko w takich miejscach, otulił mą duszę, wyciszając wszystkie niepotrzebne myśli. Usiadłam przy brzegu jeziora, w którym niczym w lustrze odbijał się cały lazuryowy nieboskłon. Barwne rybki pływały w nim, a ich delikatne

niczym pasma mgły pletwy falowały za nimi. Zmarszczyłam brwi. Nie byłam pewna co zrobić z Cudakami. Nazwałam je tak, ponieważ wydawały mi się niezwykle dziwne oraz dlatego, że nigdy w swoim długim życiu nie widziałam takiego gatunku. Miała być to nazwa tymczasowa, jednak za bardzo się do niej przyzwyczaiłam. Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy się pojawiły się. Nie jestem nawet pewna jak to się stało. Może ewolucja, a może coś jeszcze innego? Teraz nie miało to już niestety znaczenia. Latałam wtedy z Córami Wiatru pośród puszystych chmur, gdy usłyszałyśmy dziwne dźwięki. Brzmiały jak mowa, ale nie jak żadna z tych, które znałam. Byłam bardzo ciekawa, w końcu żaden gatunek nie używał do tej pory takiego języka. Gdy Córy poleciały dalej, ja cicho zakradłam się w pobliże ich legowiska, by lepiej się im przyjrzeć. Udało mi się znaleźć tam osłonę w postaci rozłożystego buku. Ukryłam się w listowiu i obserwowałam te dziwne stworzenia, które postanowiłam nazywać Cudakami. Nie byłam pewna, jak poradzą sobie w tym świecie. Nie miały ani kłów, ani pazurów, żadnego naturalnego pancerza, ani nawet porządnego kamuflażu! Nawet futra nie posiadały, więc nie byłam pewna czy w ogóle uda im się przetrwać nadchodzącą zimą! Wiedziałam, że nie powinnam była tego robić i ingerować w ustalone już od dawna prawa, jednak Cudaki były takie słabe, takie niewinne. Od tamtej pory zaczęłam nad nimi czuwać. Pokazałam im parę sztuczek, dzięki którym udało im się przetrwać. Po paru sezonach już mnie nie potrzebowały. Myślałam, że mogę w spokoju odejść i wrócić do mojego dawnego życia. Bardzo tęskniłam za wspólnymi lotami z Córami Wiatru

i spokojnych rozmów z Siostrami Kwiatów. Nie pamiętałam nawet kiedy ostatni raz widziałam się ze Strażnikami Szczytów Niezdobytych.

Jednak nie spodziewałam się tego, że Cudaki obrócą się przeciwko nam. W ich oczach stałam się demonem. Zaczęły polować na mnie i moją Rodzinę. Wtedy zrozumiałam, że i bez mojej ingerencji poradziłyby sobie z tamtą zimą. Już wtedy posiadały broń, dużo silniejszą od kłów czy pazurów. Intelkt. Wraz z ogromną ciekawością świata mógł stać się on rzeczą piękną i rozkwitnąć niczym wiosenny kwiat. Jednak Cudaki nie znały umiaru, a ich umysły zdawały się nie znać sumienia. Zamiast żyć w zgodzie z naturą i nami, postanowiły i ją, i nas nagiąć do własnych potrzeb. Staraly się ukształtować wszystko wedle własnych upodobań, nie licząc się z niczym i nikim. Ich z początku piękna ciekawość świata przerodziła się w niepohamowaną, chorobliwą żądzę. Ciągle chciały więcej, więcej i więcej. W końcu zaczęły walczyć nawet między sobą. A my zanikaliśmy.

To miejsce stało się naszym Azylem. Jedynym miejscem, którego jeszcze nie znalazły i nie zniszczyły. Jednak wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu. Spojrzałam na niebo, a górujące słońce zalało moją twarz przyjemnym ciepłem. Oparłam się o wiekowy klon, uważając by swoimi rogami nie zahaczyć o żadną gałąź czy pobliski krzew. Próbowaliśmy już wszystkiego. Duchy powietrza próbowały wywiać z nich chciwość, duchy wody próbowały ich obmyć z brutalności, duchy ziemi próbowały wytrząść z ich głów chorobliwą chęć władzy, duchy ognia próbowały rozpalić w nich miłość. Nawet duchy istnienia próbowały zasiać w ich

duszach ziarna współczucia, niestety bezskutecznie. Wiedziałam, że kończy nam się czas. Iskierka i Cicha również pomagały, jak mogły. Mieszkańcy Azylu zebrali się wokół mnie, a na ich przedzie stanęły one: Początek i Koniec. Albo Koniec i Początek? To nie miało znaczenia.

– Już czas, Matko – zwróciła się do mnie Iskierka, a Cicha lekko jej przytaknęła.

Skinęłam głową, na znak, że rozumiem. Spojrzałam z bólem na moją Rodzinę. Wiedziałam, że trudno będzie mi ich opuścić. Zawsze tak było.

– Nie martw się, zajmę się nimi, Matko – szepnęła Cicha.

Położyłam na jej głowie swoją rękę i uśmiechnęłam się do niej ciepło.

– Wiem, dziękuję. Dołącz do nas, proszę, kiedy już skończysz.

Gdy to powiedziałam, odwróciłam się w stronę jeziora, którego tafla niczym lustro odbijała promienie krwawo zachodzącego słońca. Iskierka usiadła na moim ramieniu pod postacią Córy Wiatru i zanuciła cicho. Spojrzałam ostatni raz na wszystkich. Na moich przyjaciół. Na moją Rodzinę. Wszystko było niezwykle smutne, ale i w pewien sposób spokojne. Skierowałam się w stronę chmur niczym pióra feniksa zabarwionych ognistą czerwienią, i po raz kolejny rozpoczęłam swą wędrówkę.

Postać otoczona blaskiem gwiazd wstała i otrzepała się z resztek kurzu. Łzy zeschniętych kwiatów w milczeniu opadły na obumarłą planetę. Ostatni raz spojrzała na swój dawny Dom, po czym opuściła Ziemię Piasku Róż. Znów

zgrabnie przeskakiwała z jednej konstelacji na drugą, a kruk i feniks, siedząc na jej ramionach, cicho nuciły sobie tylko znane melodie.



Lily Padula *Pushing Up Daisies*

Agata Bechta
Kalopsia

Nie chcę dorosnąć. Wiem, że gdy to się stanie, nie będę miała czasu leżeć i obserwować drzew. Kiedyś przyjdzie moment, gdy przegapię pszczołę przelatującą nad krwistoczerwonym makiem, nie zauważę, jak kolejna chmura pozwoli przetacza się po niebie, zapach porannej rosy miesza się i ginie gdzieś w atmosferze. Przemiana dnia w noc będzie naturalnym zjawiskiem, zmiana kolorów chmur – złudzeniem. Zacznę sprawdzać, która jest godzina, ile jeszcze snu mi zostało, zanim rozpocznę kolejny, rutynowy dzień.

Może wcale nie muszę? Może zostanę tutaj, zagłębiona w kwiatach i wysokich trawach? Będę obserwować, jak ktoś mnie znajduje. Ta osoba będzie chodzić po lesie już od pewnego czasu. Pomyli drogę, rozproszy się na rozdrożu, kątem oka zauważy błysk moich szeroko otwartych oczu. Kiedy mnie znajdzie, pomyśli, że śni. Obejrzy się wokół siebie, szukając innych świadków. Gdy zauważy, że jest sama, ucieknie jak największy tchórz i zostawi mnie samotną na środku pola. Miną lata, a ja będę leżeć przykryta ziemią i kurzem...

Nie. Nie mogę tak myśleć. To nie ma sensu. Podnoszę się z trawy i otrzępuję spodnie. Słońce góruje na niebie,

przygrzewając moją skórę. Spoglądałam na rozerwaną, szmacianą torbę. Musiałam zahaczyć po drodze o jakąś gałąź. Zbieram rozrzucone kartki ze szkicami, parę poobgryzanych ołówków i mały scyzoryk. Noszę go tylko na wszelki wypadek, dla własnego bezpieczeństwa. Zarzucam torbę na ramię, jeszcze raz wyglądam spodnie i ruszam w poprzek łąki, w głąb lasu. Staram się trzymać równy krok. Nie rozglądać na boki. Nie odwracać. Trzymać się celu. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Powietrze w lesie zawsze jest chłodniejsze. Cienie drzew przygaszają kolory kwiatów i krzewów, malują kształty na nierównej ścieżce. Raz przypominają ludzi, innym razem potwory lub zwierzęta. Gdy byłam młodsza, zawsze trochę bałam się lasu. Ludzie opowiadali niestworzone historie o wążkach powstających z grobu, beltach lub rusalkach. Las nie jest bezpieczny – mówili – bo nie wiadomo, co się w nim kryje. Każdy szum w krzewach, każdy chrzęst gałęzi lub grzmot na niebie może oznaczać ponury koniec.

Pamiętam jednak, że jako dzieci często chodziliśmy do lasu. Spędzaliśmy godziny, skradając się wśród krzewów, wspinając na drzewa. Było to jedyne miejsce, w którym mogliśmy być sobą – bandą dzieciaków, bez pomysłu na życie i przyszłość. Mogliśmy być, kimkolwiek chcieliśmy. Nie trzeba było szukać pracy, na siłę zawierać znajomości. W któreś wakacje – pamiętam, że kończył się lipiec – jak zawsze ze znajomymi bawiliśmy się w chowanego. Zagięła wtedy jedna osoba... Wstęp do lasu został nam surowo wzbroniony. Wciąż tam jednak chodziliśmy. Mimo ostrzeżeń rodziców wychodziliśmy poza ustalone granice,

przeskakując płoty i bramy, uciekaliśmy od prawa. Niedługo przecież zostaniemy dorosłymi, czas swobody się skończy. Będziemy musieli wrócić do nudnej rzeczywistości, milionów praw i obowiązków...

Słyszę za sobą kroki. Szukając kryjówki, znajduję wypróchniałe drzewo osnute pajęczynami. Na tę chwilę musi wystarczyć. Przylegam do wgłębienia i modlę się, aby nikt mnie nie znalazł. Kątem oka widzę małą grupę ludzi z bronią w rękach, ubranych w kurtki moro. Łowcy. Mają za zadanie pilnować lasu i zabijać każdą żywą istotę, która stanie im na drodze. Śmiertelnie niebezpieczni, szczególnie w grupie.

Zasłaniam usta i nos dłonią i staram się oddychać jak najciszej. Wdech, wydech. Żadnych gwałtownych ruchów. Oczy szeroko otwarte. Przypominam sobie o scyzoryku, ale próba zaatakowania przyciągnęłaby niepotrzebną uwagę. Nie mam innego wyjścia. Znajdą mnie tak czy inaczej. Powoli wkładam rękę do zniszczonej torby i wyciągam z niej scyzoryk. Cicho stąпам po leśnym runie. Jeden zły krok i jestem martwa. Pod moją stopą pęka gałązka, łowcy się odwracają.

Tak właśnie skończę. Nie biegną, bo wiedzą, że i tak nie mam jak uciec. Osaczają mnie, ograniczają ucieczkę do granic możliwości. Kiedyś myślałam o tym, co zrobię tuż przed śmiercią? Czy zacznę płakać, krzyczeć, modlić się, biec, śmiać? Teraz jedyne co czuję, to pustka. Poddaję się, siadam na ziemi, łowcy są już na wyciągnięcie ręki. Ich pistolety tak bardzo nie pasują do tego lasu, kwitnących kwiatów, świeżej, zielonej trawy. Przeszywa mnie ból, ale nie zważam

na niego. Kładę się w trawie i zamykam oczy. Pograżam się w ciszy i czekam.

Po jakimś czasie otwieram oczy ponownie. Słońce chyli się ku zachodowi, malując złocisto-różany krajobraz. Słyszałam kiedyś, że w momencie, kiedy umiera artysta, dostaje pozwolenie namalowania swojego ostatniego dzieła na niebie. Mogłabym sobie wyobrazić, jak leży w szczerym polu, z pędzlem w dłoni i tworzy na nieboskłonie historię swojego życia. Jego ręka zmienia układ chmur, oczy szukają odpowiednich barw. Nigdy nie kończy swojego dzieła, jego oczy zakryte są mgłą, a myśli odpływają w nieznane...

Spis treści

1. Rybki	7
2. Tunel	15
3. Tajemnica ciemnej alejki	19
4. Spadając	27
5. Lokalna społeczność	33
6. I wtedy będziemy szczęśliwi	41
7. Kornelia	59
8. Demony	65
9. Moja najlepsza przyjaciółka	77
10. Autos-phobos	85
11. Beatitudine	93
12. Pętla	99
13. Kalopsia	107



Autorki i Autorzy

Autorki i Autorzy o sobie

Agata Bechta

W wolnym czasie najpewniej znajdziecie ją w przytulnym fotelu czytającą kolejną serię książek. Ma kota Milorda oraz obsesję na punkcie herbaty i seryjnych morderców. Mimo dziwnych zainteresowań jest przyjacielska i życzliwa. Kiedy spytasz ją o dobre książki, jako odpowiedzi spodziewaj się listy z minimum trzydziestoma pozycjami.

Karolina Bronisz

Definicja prokrastynacji. Czasem napiszę jakiś tekst w krótkim przyplwywie inspiracji o drugiej nad ranem. Szczycę się umiejętnością wypijania kilku litrów kakao dziennie.

Kaja Dacka

Składam się z części niespójnych, przeczących sobie nawzajem. Na co dzień mieszkam w podtekście i chowam się w metaforach. Moim ulubionym zajęciem jest powątpiewanie w sens.

Judyta Idzikowska

Jestem człowiekiem orkiestrą żyjącym w paradoksie. Przebieram się za postaci fikcyjne, aby jakkolwiek utrzymać się w rzeczywistości i być postrzeganą jako jednostka. Pozdrawiam.

Lena Ignatiuk

Urodzona w kwietniu 2005 roku. Interesuje się muzyką i aktorstwem. Uwielbia koty, sushi oraz widoki z dachów trzydziestopiętrowych wieżowców.

Michalina Łata

Kocha wszystkie zwierzęta, łącznie ze smokami. Najlepiej odnajduje się w fantasy. Ma zbyt wiele szalonych pomysłów na historie, ale zbyt mało czasu, aby je spisać.

Milena Pomorska

Wydaje mi się, że mimo faktu, iż sami siebie znamy najlepiej, człowiek nie jest w stanie obiektywnie się ocenić. To co jest pewne, to że mam tendencję do myślenia zbyt dużo i jestem szczerą do bólu. We wrześniu 2021 kończę 17 lat.

Krzysiek Sacharuk

Pajac, bałwan, kretyn i świr, który spędza większość czasu w swojej głowie, jak i też entuzjasta frytek karbowanych.

Ania Skorzyńska

Mam 16 lat. Lubię oglądać filmy i słuchać muzyki.

Kasia Sochaj

Nowoczesna Słowianka, szukająca słowiańskości we współczesnym świecie. Kwiecista chusta na głowie, dywan powieszony na ścianie czy tańczenie dookoła ogniska w imieniu Swaroga? Mówisz, masz. Czasem myślami podróżuje także do skutej lodem Norwegii, tak dalekiej jej słowiańskiemu światu.

Kacper Warda

Awangardowy tradycjonalista i samozwańczy fascynat historii, chodzący zawsze z głową w chmurach. Tu-dzież wierny wyznawca wyższości frytek prostych nad karbowanymi.

Szymon Wenerski

O sobie mówi: nie było łatwo, ale nikt nie mówił, że będzie.

Hania Wiejak

Nazywam się Hanna Maria Wiejak. Mam 16 lat. Jestem uczennicą 2 klasy liceum. Lubię rysować i słuchać muzyki.

Źródła ilustracji

- str. 7. **Henri Matisse** „Goldfish”
<https://www.wikiart.org/en/henri-matisse/goldfish-1911>
- str. 15 **Joanna Karpowicz** „Tunnel”
<https://joannakarpowicz.pl/2018/02/10/tunnel/>
- str. 19 **Jakub Różalski** „1920 – Polańscy ułani na patrolu”
<https://jrozalski.com/projects/5LeAA>
- str. 27 Autorstwa grafiki nie udało nam się ustalić
<https://www.wallpapermaiden.com/wallpaper/28203/anime-steampunk-city-industrial-scenic-cityscape-buildings/download/1878x1178#>
- str. 33 **Edward Hooper** „Gas”
https://commons.wikimedia.org/wiki/Category:Paintings_by_Edward_Hopper#/media/File:Hopper-Gas-1940.png
- str. 41 **Baldo Angelo Abbati** „Viper (De Viperae Coheuntis)”
https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Fotothek_df_tg_0008240_Zoologie_%5E_Schlange.jpg

- str. 59 **Edward Hooper** „New York Interior”
[https://commons.wikimedia.org/wiki/Category:Paintings_by_Edward_Hopper#/media/File:Edward_Hopper,_New_York_Interior,_c._1921_1_15_18_-_whitneymuseum_\(40015892594\).jpg](https://commons.wikimedia.org/wiki/Category:Paintings_by_Edward_Hopper#/media/File:Edward_Hopper,_New_York_Interior,_c._1921_1_15_18_-_whitneymuseum_(40015892594).jpg)
- str. 65 **David A. Hardy** „Portals to Alternate Universes”, na licencji Science Photo Library
<https://www.sciencephoto.com/media/482602/view>
- str. 77 **Paul Nong** „Dusk in the City”
<https://artfulbeast.artstation.com/projects/nVrQr>
- str. 85 **Janusz Lewandowski** „Cudownie ocaleni”
https://www.lewandowski.art/en_US/p/MIRACULOUSLY-MADE-60x80/72
- str. 93 **Oskar Kokoschka** „Bride of the Wind”
<https://www.wikiart.org/en/oskar-kokoschka/bride-of-the-wind-1914>
- str. 99 **NASA** „Top of Atmosphere”
<https://eol.jsc.nasa.gov/SearchPhotos/photo.pl?mission=ISS013&roll=E&frame=54329>
- str. 107 **Lily Padula** „Pushing Up Daisies”
<https://eol.jsc.nasa.gov/SearchPhotos/photo.pl?mission=ISS013&roll=E&frame=54329>

Wiele jest w tych opowiadaniach młodych Auterek i Autorów strachu, niepewności, gorzkiej ironii... Wypowiadając uczucia, emocje i lęki, można jednak nad nimi zapanować. W imię naszego lepszego jutra.

Agnieszka Bojczuk



Dyrektor MLO Paderewski

